

PRZYBLIŻAJĄC LEGENDY

**STAR
WARS**

BOBA FETT



NOWE ZAGROŻENIE

WĄJNY KLONÓW

ELIZABETH HAND

Gwiezdne Wojny
Boba Fett: Nowe zagrożenie
Tytuł oryginalny: Boba Fett: A New Threat
Autorzy: Elizabeth Hand
Wydawnictwo: Scholastic
Tłumaczenie: Krayt
Korekta: Sharon
Polska wersja okładki: Teesel
Koordinacja projektu: X-Yuri
Tłumaczenie stanowi część projektu „Przybliżając legendy”.

ROZDZIAŁ 1

Podwójne słońca Tatooine wisiały nisko nad horyzontem. Kiedyś myślał, że wyglądają jak grożące mu demoniczne oczy.

Ostrzegające go.

Wyzywające go.

Teraz były prawie że miłym widokiem.

- Przygotować się do lądowania - polecił młodzieniec siedzący za sterem *Slave'a I*. Popatrzył na czerwone słońca, pod którymi cienie wyglądały jak krew. Uśmiechnął się wbrew sobie.

Dobrze jest być z powrotem, pomyślał, wciskając się w fotel. Za nim, w kokpicie była para zmarszczonych rąk – jedyne, co pozostało z ostatniej misji Boby. Był na Morzu Wydm, by upolować Noghrijskiego zabójcę imieniem Jhordvar. Gibkie stworzenie popełniło błąd, zdradzając pracodawcę Boby.

Zły pomysł, Boba pomyślał, przypominając sobie pogardę Jhordvara, gdy po raz pierwszy wyjrzał ze swej pustynnej kryjówki, by ujrzeć stojącego przed nim młodego łowcę nagród.

- Jabba wysłał lokaja, by wykonał zadanie zabójcy! - syknęło stworzenie.

- Mylisz się - odpowiedział mu Boba. Miał już blaster wycelowany pomiędzy oczy Jhordvara. - Wysłał najlepszego łowcę nagród, jakiego miał.

Ich walka była krótka, lecz zawzięta. Boba zaoferował Jhordvarowi szansę bycia dostarczonemu żywcem do cytadeli B'omarr Jabby, lecz stwór nie zgodził się poddać.

Jabba Hutt chciał zdrajcę żywego lub martwego. Cóż, dostał jedną z opcji, Boba pomyślał, kierując *Slave'a I* do doku w pałacu Jabby. Pustynna burza zmusiła go do przeczekania kilku dni w kryjówce Noghriego, podczas gdy ciało swojej ofiary pozostawił na zewnątrz w burzy. Piasek i gorąco zmumifikowały to, co zostało z Jhordvara. Ręce zostały mu dosłownie oderwane przez silne wiatry; Boba zdecydował, że pierścień Jhordvara wystarczyłyby, by go zidentyfikować, dlatego też zostawił ciało i wziął tylko ręce.

- Wiesz, Jhordvar, powinieneś był się poddać, gdy miałeś okazję - powiedział Boba, gdy *Slave I* dotykał ziemi. - Lecz dzielnie walczyłeś, przyznam. - Boba polecił komputerowi statku, by się wyłączył, po czym podniósł wysuszone szpony Noghri'ego. Popatrzył na nie, marszcząc brwi, po czym wrzucił je do torby i wyszedł na zewnątrz. Zostawił mandaloriański hełm w kokpicie – wróci po niego, po tym jak się zgłosi do Jabby.

- Zobaczymy się wkrótce - powiedział, głaszcząc kadłub *Slave'a I*.

Para gamorreńskich strażników stała przy wejściu do pałacu Jabby. Gdy Boba się zbliżał, jeden z nich trącił drugiego. Popatrzyli na siebie w zdziwieniu, lecz szybko się wyprostowali.

Jeden z nich chrząknął pytająco.

- Miałem pewne opóźnienie. - Boba odrzekł. Przechylił torbę, ukazując wieprzom wystający z niej kawałek szponów Jhordvara. - Nic poważnego. Tylko burza piaskowa.

Oczy Gamorrean poszerzyły się z respektem oraz – tak! - strachem. Boba zwalczył chęć triumfalnego uśmiechu. To była prawie że cała nagroda, jakiej potrzebował. Prawie – ale niezupełnie. Odchylił głowę do tyłu i spojrzął na jednego ze strażników. Ten szybko się obrócił i otworzył mu masywne drzwi. Boba przeszedł przez nie dumnie.

Brałby cały respekt, jaki tylko mógł od innych wyłuskać. Na respekt trzeba sobie zasłużyć, jego ojciec zawsze mawiał. Co do tych, którzy są na tyle głupi, by ci go nie dawać – cóż, dla nich zawsze pozostaje strach.

Boba się zatrzymał. Ciężkie drzwi się za nim zatrzasnęły. Mrugnął powiekami, czekając, aż wzrok mu się zaadaptuje do ciemności panującej wewnątrz fortecy, aż ciało się przyzwyczai do chłodu powietrza i aż usłyszy odległe odgłosy ucztowania z sali tronowej.

Strach i respekt, myślał z ponurą satysfakcją. Wszystko, czego dowiedziałem się o tych rzeczach, można zsumować w dwóch słowach:

Jabba Hutt.

Boba się obrócił i zaczął iść w dół korytarzem. Liczne droidy protokolarne minęły go, spiesząc się wykonać polecenia Jabby. Dwóch droviańskich ochroniarzy huttyjskiego gangstera przechadzało się korytarzami. Boba patrzył, jak zatrzymywali parę Jawów, przeszukując małych żółtookich zbieraczy, zanim im pozwolili odejść. Zbliżając się, Boba usłyszał, jak jeden z lokajów mamrocze jego imię.

- Idź - powiedział Droviańszczyzna, machając mu ręką. - Spodziewają się ciebie. Prawdę mówiąc, jesteś wcześniej – nikt nie sądził, że tak szybko wrócisz.

- Niektórzy mieli nadzieję, że nigdy nie wrócisz! - jego kompan się zaśmiał.

Boba spojrział na niego spode łba.

- Nie zapomnę wspomnieć o tym Jabbie.

Lokaj zmarszczył brwi, gdy Boba przechodził. Bycie ulubionym łowcą nagród Jabby z pewnością miało swoje zalety.

Gdy doszedł do korytarza prowadzącego do sali tronowej, zatrzymał się. Widział z tuzin cienistych postaci kręcących się w holu. Wielu z nich poznał po broni i pancerzu: łowcy nagród.

Coś się dzieje, pomyślał. Ale co?

Ze środka dobiegała przeraźliwa muzyka i chrapliwy śmiech – typowe odgłosy gangreny otaczającej Jabbę Hutta.

Był również inny dźwięk, prawie tak samo głośny. Brzuch Boby przeraźliwie burczał.

Nie jadłem nic od wczoraj po południu, pomyślał. A opowiedzenie Jabbie całej historii o Jhakvie trochę zajmie. Ponadto, da mi to szansę usłyszeć jakieś plotki o tym, co się działo, odkąd odleciałem.

Rzucił okiem z powrotem w kierunku sali tronowej. Oprócz łowców nagród widział droidy oraz licznych piratów kosmicznych, młodą twi'lekańską tancerkę, wyraźnie zdenerwowaną, oraz Arkanianina trzymającego na smyczy bardzo młodego i bardzo aktywnego arkaniańskiego smoka.

Wygląda na to, że Jabba może być jeszcze zajęty przez parę minut, Boba pomyślał. Szybko się odwrócił i pobiegł bocznym korytarzem.

- W końcu! Przybyłeś z nowymi pozostałościami po robakach! - Szczupły Selonianin ubrany w białą szatę kucharza wyjrzał zza drzwi. Gdy zobaczył Bobę, wyraźnie się rozczarował. - Mój błąd - powiedział, wracając do mieszania czegoś ohydneho w bulgoczącym garnku.

Boba się nie zatrzymywał. Minął kilka drzwi, na których był napisany znak w języku huttańskim. KUCHNIA CZTERY, KUCHNIA PIĘĆ, KUCHNIA SZEŚĆ...

- Kuchnia siedem - Boba powiedział z ulgą, dochodząc do ostatnich drzwi. Poprawił sobie torbę na ramieniu i wszedł do środka.

Powitał go zapach pieczonego chleba, kremu oraz mięty. Nad piecem pochylona była sękatą postacią. Obok niej, druga osoba dekorowała suflet z białych robaków.

- Czy spóźniłem się na śniadanie? - spytał Boba.

- Żadnego śniadania aż do jutra - odpowiedział starzec, nie podnosząc wzroku.

- Nawet dla głodnego łowcy nagród?

Obu kucharzy się odwróciło.

- Boba! - krzyknęła młodsza. Otarła sobie włosy z oczu, zostawiając kreskę z mąki na twarzy. - Wróciłeś! I jeszcze bardziej urosłeś!

Boba się uśmiechnął.

- Może to ty się po prostu kurczysz, Ygabba.

Ygabba pokręciła głową. Popatrzyła na niego od góry do dołu.

- Nie. Jesteś zdecydowanie wyższy. Będziesz niedługo potrzebował nowej zbroi, Boba.

Boba zdjął torbę z ramienia i położył ją na ziemi.

- Wiem - powiedział. - To będzie pierwsze, o czym wspomnę Jabbie. No, w sumie drugie. - Wskazał kciukiem na zawartość torby.

Gab'borah spojrział na dół. Był to ojciec Ygabby. Jako główny kucharz zajmujący się deserami dla Jabby, był przyzwyczajony do różnych odrażających widoków.

Lecz nawet on był pod wrażeniem trofeum Boby.

- Jabba będzie bardzo zadowolony - powiedział. Z aprobatą dotknął jednej z wysuszonych rąk. - Nie poznałem nawet twojego głosu, Boba. A Ygabba ma rację – urosłeś.

Starzec się uśmiechnął i wskazał na ścianę za Bobą. Tam, na przestrzeni ostatnich dwóch lat, Gab'borah ustawiał Ygabbę i Bobę, rysując kreskę w miejscu, dokąd sięgała ich głowa. Boba popatrzył na ostatni znak i zauważył, że rzeczywiście był teraz o kilka centymetrów wyższy.

- Musisz się spełniać jako łowca nagród - Gab'borah powiedział z przymrużeniem oka. Obrócił się i wziął talerz yowvetchskiego kremu, wciąż ciepłego i drżącego po wyciągnięciu z pieca. - Proszę, Boba – wyglądasz na wpół wygłodzonego.

Boba zaczął jeść zawzięcie.

- Mmm.. to jest pyszne - powiedział.

- Nie siedź tutaj za długo - ostrzegła Ygabba. - Coś się dzieje. Jest masa łowców nagród czekających od trzech dni, by zobaczyć się z Jabką. Kazał im czekać – chyba miał nadzieję, że wrócisz – ale chyba nie będzie już czekał zbyt długo.

- Mmmff. - Boba połknął ostatni kęs, wycierając usta o rękaw. - Dziękuję, Ygabba. I tobie, Gab'borah. Za jedzenie, oraz wiadomość. - Chwycił torbę i wyszedł z powrotem do holu. Ygabba uśmiechnęła się pod nosem i pomachała za nim.

- Do zobaczenia, Boba!

- Wróć tutaj, zanim znowu gdzieś wyjedziesz - Gab'borah krzyknął za Bobą, idącym w stronę sali tronowej. - Będziesz potrzebował więcej prowiantu, by wypełnić tę nową zbroję!

Tym razem, służusy Jabby usunęły się z drogi, gdy tylko zobaczyły nadchodzącego Bobę. Dostrzegł ukośne, podejrzliwe spojrzenia, jakie mu rzucali inni łowcy nagród, gdy przechodził obok nich.

Widział jednak też, jak patrzyli na niego z podziwem – szczególnie, gdy zobaczyli parę zmumifikowanych rąk wystających mu z torby. Gdy doszedł do wejścia na salę tronową, zatrzymał się. Parę metrów od niego widział ogromny kształt Jabby unoszący się nad chmurą dymu kadzideł niczym góra piasku nad Morzem Wydm. Nawet teraz Boba nie mógł się nie zmarszczyć na widok swojego pracodawcy.

To jest jeden obrzydliwy Hutt, pomyślał. Wskazał na droida protokolarnego stojącego nieopodal.

- Ty - Boba mu polecił. Droid się obrócił, wpatrując się w niego świecącymi oczami. - Powiedz Jabbie, że Boba Fett tu jest.

Droid przechylił nieco swą błyszczącą głowę.

- Tak jest - rzekł, obracając się i wchodząc do sali tronowej obok strażników. Czekający łowcy nagród patrzyli, jak droid zbliża się do tronu, po czym powiedział swym czystym mechanicznym głosem: - Panie Jabbo! Mój panie-

Głowy się obróciły i muzyka ucichła, gdy Boba wszedł do sali. Droid się obrócił i uklonił.

- Jak widzisz, wielki Jabbo – Boba Fett powrócił!

ROZDZIAŁ 2

- Ho ho ho!

Boba zamarł, gdy znajomy głęboki śmiech rozbrzmiał na sali. Na platformie w środku holu siedział ogromny, przypominający ślimaka Jabba Hutt. Za nim, jego Twi'lekański majordomus, Bib Fortuna, stał na baczność.

Żółte oczy niesławnego gangstera skierowały się na Bobę. W miarę jak młody łowca nagród podchodził pod tron, wielki Hutt się podnosił, by patrzeć na niego z góry.

- A więc! - Jabba powiedział po huttańsku, języku, który Boba dobrze już znał. - Łowca marnotrawny powrócił! - oczy kryminalisty, wpatrzone w Bobę, się zwięzły. - Lecz wrócił sam! Nie widzę śladu Jhordvara!

- To dlatego, że chłopiec poniósł klęskę! - syknął głos z cieni. Boba spojrzął na bok. Zobaczył kolejnego łowcę nagród, Aqualisha z wyłupiastymi oczami, gapiącego się na niego z wrogością.

- Klęskę? - Jabba sięgnął do kosza wijących się białych robaków. Chwycił garść odrażających przysmaków. - Czyżby?

Boba rzucił chłodne spojrzenie Aqualishowi.

- Bynajmniej, o najokropniejszy z Huttów - Boba powiedział. Zrzucił torbę z ramienia i podszedł pod tron. - Zrobiłem tak, jak mi kazałeś, panie Jabbo. Dałem zabójcy Jhordvarowi wybór, by ze mną wrócił, lub-

- Lub uciekł! - Aqualish wykrzyknął.

Inni łowcy nagród zaśmiali się podle. Boba ich zignorował.

- Lub pogodził się ze śmiercią - Boba kontynuował. - Wybrał to drugie, ku jego nie-szczęściu. Lecz nie ku twojemu, potężny Jabbo.

Szerokim gestem, Boba podniósł torbę i odwrócił ją do góry dnem. Pozostałości Jhordvara spadły na ziemię. Wysuszone ręce się zwinęły, jakby próbując – za późno – się wydo-
stać. W sali rozbrzmiały podekscytowane szept.

Jabba popatrzył na swojego majordomusa.

Z ukłonem, Bib Fortuna podszedł szybko pod trofea. Zatrzymał się i chwycił jedną z kościstych rąk. Następnie obrócił ją, by Jabba mógł widzieć złoto-zielony amaralitowy pierścień połyskujący na znumifikowanym palcu.

- To jest zaiste Jhordvar - Bib Fortuna powiedział. Rzucił Bobie pełne podziwu spojrzenie. Następnie Twi'lek zerwał pierścień z ręki zabójcy i powrócił, by przedstawić go Jabbie.

- Hmm - Jabba się zastanowił. Kazał Fortunie unieść pierścień do światła, by móc mu się lepiej przyjrzeć. Popatrzył na Bobę. Bardzo powoli, usta Jabby wykrzywiły się w uśmiechu. - Ho ho ho! Chodź-

Boba wypuścił powietrze z ulgą. Zbliżył się do Jabby prawie że biegiem, zatrzymując się przed tronem.

- Twoja ręka - Jabba rozkazał. Boba wyciągnął dłoń, a Jabba upuścił w nią pierścień. - Dostaniesz standardowe wynagrodzenie, młody Fettcie. To jest bonus. Amaralit jest wiele warty w niektórych częściach galaktyki.

Lecz nie na Tatooine, Boba pomyślał, jednocześnie rzucając swojemu pracodawcy spokojne spojrzenie.

- Dziękuję, panie Jabbo - powiedział. - Dobrze się nim zaopiekuję.

Jabba przypatrzył mu się tak, jakby mu czytał w myślach. Oklapnięty język Hutta obliżał mu kącik ust, gdy Jabba sięgał po więcej przekąsek.

- Może ci się przydać, młody Bobo - powiedział. - Na twojej następnej przygodzie...

Boba przypatrzył mu się, starając nie pokazywać zmieszania. W holu za sobą słyszał, jak zgromadzeni łowcy nagród szepczą wściekle między sobą.

- Moja następna...? - zaczął.

- Tak. - Jabba wskazał z niechęcią na pozostałych łowców. - Widzisz ich? Jackale! Wężę Arraki! To predatorzy. To dobrzy łowcy – lecz nie wspaniali. Brak im wizji. Brak im wytrzymałości - rzekł. - Brak im chęci zwycięstwa.

Boba pozwolił sobie na mały, ponury uśmiech.

- Wytrzymałość to ja rozumiem - powiedział.

- Wiem. - Jabba odrzekł. - Dlatego poczekałem, aż wrócisz. Mam dla ciebie ważne zadanie. Zaangażowanych w nie będzie wielu łowców nagród – lecz tylko jeden otrzyma najwdzięczniejsze zadanie.

- To też rozumiem. - Boba powiedział.

- Ci łowcy nagród - Jabba kontynuował, wskazując na nich - Byli tutaj przez tydzień. Niektórzy nie mieli wystarczająco cierpliwości, by poczekać. Odeszli. Nie wrócą.

Boba zatrzęsł się pod tronem Jabby. Hutt podniósł głos tak, by wszyscy w holu go usłyszeli.

- Wróćcie za godzinę! Wtedy otrzymacie rozkazy. Będzie chwała dla wszystkich – i krew dla wszystkich - zakończył, uśmiechając się. W całym pokoju łowcy nagród przeklinali. Niektórzy się śmiali. Pozostali wykonali agresywne gesty i odeszli wściekli.

Po paru minutach zostało tylko kilku, patrzących z nadzieją na Jabbę. Jednym z nich był Aqualish.

- Na co czekacie? - spytał Jabba. Obrócił się do Biba Fortuny. - Ci goście nie znają manier! Może chcieliby się przydać jako pokarm dla moich bestii?

- Z przyjemnością, panie - powiedział Twi'lek z okrutnym uśmiechem.

Boba spojrział na nich. Pozostali łowcy nagród ruszyli spieszenie w kierunku drzwi. Ostatnim, który wychodził, był Aqualish. Wbił przez chwilę wzrok w Bobę, następnie poszedł za innymi.

- Teraz - Jabba ryknął z tronu. Pochylił się do przodu, ruszając lekko ogonem i wskazał Bobie, żeby doń poszedł. - Spisałeś się dobrze jak na młodego łowcę nagród.

- Dziękuję, panie Jabbo. - odpowiedział Boba.

- Tak dobrze, prawdę mówiąc, że nie będę miał już tutaj z ciebie pożytku. - Jabba kontynuował.

Boba popatrzył na niego z osłupieniem.

- Ale przed chwilą powiedziałeś...? - spytał. - Nie będziesz miał ze mnie pożytku? - Przełknął ślinę, starając się nie pokazywać zaniepokojenia.

- Lecz jedyne, czego chcę, to być łowcą nagród, pomyślał. Najlepszym z najlepszych – a tylko ci pracują dla Jabby!

- Nie powiedziałem tego - głos Jabby był spokojny, z nutką grozy. - Powiedziałem, że nie będę już miał z ciebie pożytku tutaj, na Tatooine.

Boba popatrzył na niego, nie wierząc w to, co słyszy.

Jabba przytaknął.

- Tak. Jutro zaczynasz dla mnie nową pracę, Boba – poza planetą!

ROZDZIAŁ 3

Poza planetą! Tak!

Boba był wyraźnie podekscytowany.

- Kiedy wylatuje? - spytał.

Jabba obserwował go z aprobatą.

- Cieszę się, że ci odpowiada ta perspektywa - powiedział. Wziął do rąk gąbczasty globex w kształcie gwiazdy, oderwał mu głowę od ciała i zjadł go, siorbiąc głośno. Wyciągnął do Boby pustą skorupę.

- Yyy, nie dzięki - Boba powiedział.

Jabba beknął i kontynuował:

- Wielu byłoby przerażonych samą myślą podróży na Xagobah w tych nieszczęsnych czasach. Lecz wydaje mi się, że moje przeczucia co do ciebie są prawdziwe. Nie wydajesz się przestraszony.

Boba się zawahał.

- Mój ojciec nauczył mnie, że strach można przezwyciężyć - powiedział w końcu. Poczłukując na myśl o swoim ojcu, Jango Fett'cie – potężnym łowcy nagród, zabitym przez tego parszywego Jedi, Mace'a Windu. - Zawsze mawiał, że dobry łowca nagród powinien znać zarówno swoją ofiarę, jak i siebie samego.

Wiedza to moc. Strach to energia. A mając moc oraz energię, można pokonać wszystko. Każdego wroga.

Jabba przypatrywał mu się bursztynowymi oczami.

- Twój ojciec dobrze cię nauczył, Bobo Fett'cie.

- Tego, czego mnie nie nauczył, o wielki Jabbo, dowiedziałem się od ciebie.

Ogromna gęba Jabby otworzyła się w okropnym śmiechu. Sięgnął po wysuszony baidyl ręki Jhordvara i pomachał nią, jakby była wachlarzem.

- Ho ho! W takim razie, zaiste dobrze się nauczyłeś!

Jabba rzucił rękę Jhordvara w kąt.

- Lecz będziesz potrzebował całej swojej wiedzy, młody Fett'cie - powiedział. - I odrobinę szczęścia by również nie zaszkodziło tam, gdzie cię wysyłam.

Boba czekał cierpliwie. Wiedział, że lepiej jest nie przerywać Jabbie.

W tym momencie monolog przejął majordomus Hutta.

- W ostatnim tygodniu wysokiej rangi członek Senatu Republiki skontaktował się z wielkim Jabbą. Całkowicie potajemnie, rzecz jasna - służalczy Bib Fortuna dodał ze złośliwym uśmiechem. - Chcą sprawiać pozory, że pracują z wykorzystaniem tylko odpowiednich kanałów. Dali nagrody na głowy wielu przywódców Separatystów. Nasz pan Jabba zgodził się pomóc im upolować to ścierwo. Wszyscy wiedzą, że jego łowcy nagród są najlepsi - Bib Fortuna powiedział z dumą. - Nawet Republika!

Boba się uśmiechnął. Instynktownie powędrował ręką po blaster na udzie.

- A więc chcesz, bym ich upolował?

- Nie. - Twi'lek wskazał z pogardą na pusty hol. - Pan Jabba pozwoli innym się tym zająć.

Boba spojrzał na Jabbę. Kryminalista przyglądał mu się uważnie. Boba zachowywał spokój. Czekał, gdy Fortuna kontynuował.

- Jabba ma dla ciebie coś o wiele bardziej niebezpiecznego.

Boba przytaknął.

- Świetnie!

- Czy słyszałeś kiedykolwiek o Separatyście imieniem Wat Tambor?

- Nie - powiedział Boba.

- Jest on prezesem Unii Technokratycznej, jak również inżynierem wojskowym. Wybitnym strategiem. Bardzo niebezpieczny – ekspert co do maszyn bojowych oraz mistrz technologii obronnych. Jest również mistrzem ucieczki. Republika schwytała go i przetrzymywała w więzieniu o wysokim poziomie bezpieczeństwa. Lecz grupa podwładnych Tambora z Unii Technokratycznej uwolniła go, z pomocą zmiennokształtnego Clawdite'a.

- Clawdite - Boba powtórzył z niesmakiem. - Znienawidziłem Clawdite'ów.

Nie powiedział dlaczego – przede wszystkim było to przez to, że jeden zmiennokształtny go obrabował, gdy Boba był na Aargau, próbując odzyskać fortunę swojego ojca.

- Źródła pana Jabby poinformowały go, że Wat Tambor znajduje się obecnie na Xagobah - Bib Fortuna powiedział. - Zaszły się tam w swojej fortecy. Republikańskie wojska zaatakowały jego kryjówkę, używając armii klonów pod przywództwem Mistrzynie Jedi o imieniu Glynn-Beti.

Na słowo „Jedi”, twarz Boby spochmurniała. Nie powiedział, że spotkał kiedyś Glynn-Beti na republikańskim statku szturmowym Candaserri. Okazała nawet wobec niego życzliwość; nigdy nie poznała jego prawdziwego imienia ani pochodzenia. Glynn-Beti była Bothanką, niskiego wzrostu i o kremowej barwie futra. Miała mniej niż półtora metra od stóp do głowy. Lecz miała wyjątkowe poważanie oraz władzę pomimo swej wielkości – moc i autorytet Jedi.

A nic nie mogło zmienić zdania Boby co do tego.

- Jedi również nienawidzę - Powiedział.

Lecz nie Ulu Ulixa, Padawana Glynn-Beti, Boba pomyślał. Ulu był jedynym Padawanem, którego autentycznie lubił.

Jabba przytaknął. Fortuna kontynuował.

- Wiem. A Separatyści popierający Wata Tambora przygotowali ogromną kontrofensywę – hailfire'y, droidy pająki, najbardziej technologicznie zaawansowane droidy bojowe, jakie kiedykolwiek widziano. Aby dotrzeć do Wata Tambora, będziesz musiał się najpierw przedrzeć przez wojska Republiki oraz Separatystów – żaden członek republikańskich wojsk na Xagobah nie może się dowiedzieć o twoim zadaniu.

- Rozumiem - Boba powiedział.

- Czyżby? - usta Jabby nagle wykrzywiły się w chłodny uśmiech.

Fortuna znów podjął monolog.

- Po tym, jak przedostaniesz się przez wojska Separatystów – jeśli dasz radę – będziesz musiał wejść do Cytadeli. Wat Tambor sam ją zaprojektował. Skupił całą swoją technologiczną wiedzę na jednym aspekcie: by sprawić, że ta forteca będzie nie do zdobycia. Nikt nigdy nie spenetrował jej murów. Nikt – nawet Jedi. A nawet jeśli się im udało, w środku są wszędzie pułapki. Ukryte drzwi. A chodzą pogłoski, że Tambora chroni coś jeszcze straszniejszego!

Jabba się pochylił do przodu. Ogromne cielsko przesunęło się na tronie, niczym osuwisko błotne w zwolnionym tempie.

- Widziałeś tych innych łowców nagród, Boba. Każdy z nich chciał to zadanie. Niektórzy z nich byliby gotowi za nie zabić! Czy ty również?

ROZDZIAŁ 4

- Kiedy wylatuję? - spytał Boba. Starał się nie zdradzać niecierpliwości.

- Prawie natychmiast.

Jabba obrócił się do Fortuny i przemówił do niego niskim głosem. Twi'lek słuchał, rzucając okiem na Bobę, następnie przytaknął, ukłonił się i odszedł.

- Kazałem przygotować twój statek do startu. - Jabba powiedział. - Pozostali łowcy otrzymali już swoje zlecenia od Biba Fortuny. Oni również będą niedługo odlatywali. Lecz tylko ty polecisz na Xagobah.

Jabba włożył rękę do wiwarium. Wyciągnął pojedynczego wuorla z masy przypominających żaby stworzeń wijących się w zbiorniku, wrzucił go do gęby i żuł w zamyśleniu.

Fe! Boba pomyślał. Szybko spuścił wzrok, pobawił się przez chwilę blasterem i czekał, aż Jabba skończy.

- Jest jeszcze mała kwestia, o której musimy porozmawiać - Jabba powiedział. Po raz kolejny beknął. - Twoja zapłata.

- Moja zapłata? - Boba udawał, że się zastanawia.

Musiał bardzo ostrożnie dobierać słowa. Nie chciał sprawić wrażenia zbyt zdenerwowanego, tak jak ci inni łowcy nagród. Musiał być bystry i chytry. Nawet bardziej, niż sam Jabba – z tym, że Jabba nie może o tym wiedzieć.

- Jest to bardzo trudne zadanie - Boba powiedział w końcu. - Najniebezpieczniejsze, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Pracowałem dla ciebie już wiele lat, O Największy z Huttów. Ty, bardziej, niż ktokolwiek inny, wiesz, jaki jestem wobec ciebie lojalny. Oraz jak wdzięczny, że zleciłeś mi to zadanie, wiedząc, że jestem wciąż młody.

Boba spuścił głowę. Jego głos był pełen respektu; lecz nawet Jabba Hutt nie widział zdeterminowania w oczach młodego łowcy nagród.

- Panie Jabbo! Przyjmę taką zapłatę, jaką uznasz za stosowną.

Ogromne cielsko Jabby jakby nabrzmiało ze szczęścia.

- Po raz kolejny, dobra odpowiedź. Tylko ty wyrażasz wdzięczność za moją opiekę! Tylko na tobie mogę zawsze polegać. Dlatego też podzielę się z tobą zapłatą, jaką obiecała mi Republika. Ja zatrzymam siedemdziesiąt procent. Reszta jest twoja, Boba.

Tylko trzydzieści procent! Inni mogliby się śmiać, lub klócić, lecz Boba wiedział lepiej – Jabba zwykle zatrzymywał dziewięćdziesiąt procent.

Boba się uklonił.

- Dziękuję, Najhojniejszy z Gangsterów. Tak jak powiedziałaś, jestem wciąż młody i się wciąż uczę. A kiedy wrócę z tej misji, będę dalej dla ciebie pracował. Lecz wtedy moja nauka będzie skończona. Moja stawka będzie wyższa. Lecz moja lojalność pozostanie taka sama.

Serce Boby biło szybko, gdy wypowiadał te ostatnie słowa. Ryzykował i dobrze o tym wiedział.

Lecz gdy się było najlepszym łowcą nagród w galaktyce, wszystko rozchodziło się o szanse. Wpatrywał się w Jabbę, czekając na odpowiedź.

Przez chwilę Hutt nic nie mówił. Żółte oczy mu płonęły.

- Kiedy wrócisz? Kiedy wrócisz? - powiedział w końcu. Zaczął się trząść ze śmiechu.

- Ho ho! Czy nie masz na myśli jeśli wrócisz? - Jabba odchylił się na tronie. - Idź – teraz! Przygotuj się na tą przygodę! Jeśli wrócisz, omówimy tą kwestię.

- Dobrze, Panie Jabbo - Boba odpowiedział. Z małym uklonem, obrócił się i szybko wyszedł z sali tronowej. Było blisko! Pomyślał.

Ton Jabby oraz złość w jego spojrzeniu dały Bobie do zrozumienia, że być może posunął się tym razem za daleko!

Boba poszedł do swojego mieszkania, kilku pokoi w najbardziej wschodniej wieży rozległego pałacu Jabby. Gdy tam dotarł, zatrzymał się i stanął przed drzwiami.

Minęło kilka miesięcy, odkąd tu był ostatni raz. Nigdy nie był tutaj dłużej niż kilka dni, w najlepszym razie tygodni, naraz, pomiędzy zleceniami. Pomimo tego, te pokoje były najbliższą domowi rzeczą, jaką miał.

Wiedział, co znajdzie w środku. Jego mieszkanie było proste, prawie że spartańskie. Pokoje wojownika, bez żadnych fanaberii oprócz małej sterty holoksiążek obok łóżka. Książ-

ki o strategii, nawigacji, mandaloriańskich technikach walki, zwiadzie oraz polowaniu; starożytne teksty o wojnie.

Najcenniejsza z nich wszystkich była książka pozostawiona mu przez jego ojca. Zawierała jego słowa oraz obrazki. Razem z hełmem Jango Fetta oraz pozostałościami jego zbroi, książka ta była najcenniejszą własnością Boby. Nauczył się z niej więcej, niż z jakiegokolwiek innej.

Lecz jeszcze więcej wiedzy zdobył dzięki własnemu doświadczeniu.

Myśli o ojcu wciąż przyprawiały Bobę o smutek. Lecz wiedział, że jego ojciec byłby dumny ze swojego syna. W końcu właśnie otrzymał ważne zlecenie od Jabby Hutta!

Boba otworzył drzwi i wszedł do środka. Jego pokój był dokładnie taki, jakim go pozostawił. Lecz czy na pewno?

- Hej... - Boba zmarszczył brwi.

Czyż nie zostawił swojego mandaloriańskiego hełmu na pokładzie *Slave'a I*?

A jednak był tutaj, na środku łóżka. Boba rozejrzał się po pokoju podejrzliwie.

Lecz nie było śladu nikogo. Drzwi nie miały żadnych śladów po włamaniu. Trzymając palec na spuście blastera, podszedł do łóżka.

Było tam coś jeszcze, obok hełmu jego ojca.

Zbroja.

Z początku myślał, że była to zbroja, która należała swojego czasu do Jango – zbroja, której Boba nie mógł się doczekać, by nosić, lecz która była wciąż na niego za duża.

- Hmm - powiedział. Podniósł napierśnik, wymodelowany, by pasować do muskularnej sylwetki Jango. - Coś tu nie pasuje...

Zbroja była mniejsza, niż ta jego ojca. Boba uniósł ją – tak, była dopasowana do niego. Idealnie.

Zbadał zbroję dokładnie, wciąż marszcząc brwi.

- Wow - powiedział z niedowierzaniem.

Tam, nieco pod lewą stroną klatki piersiowej, małe wgniecenie wskazywało miejsce, w które Jango został kiedyś trafiony z karabinu snajperskiego i ledwo przeżył.

Boba wydał okrzyk radości.

To była zbroja Jango!

- To jest wspaniałe! - powiedział na głos. Szybko zamknął drzwi. Następnie przebrał się ze swojego zwyczajnego stroju – bładoniebieskiej tuniki oraz spodni młodego mandaloriańskiego wojownika oraz czarnych butów do kolan, które już od prawie roku były na niego za małe. - Mam nadzieję, że to będzie pasować!

Pasowało – tak, jakby było zrobione specjalnie na niego. Niebieskie ognioodporne spodnie ze stalowymi pancernymi nakolannikami oraz nagolennikami. Tunika na dorosłą osobę, o wiele cięższa oraz bardziej wytrzymała niż jego obecna, z naramiennikami oraz napierśnikiem, ciężki pas z bronią, karwasze, oraz rękawice ochronne, które sprawiały wrażenie jakoby drugiej skóry. Ostatnią rzeczą, którą Boba ubrał, były buty – buty jego ojca, lecz z nowo wzmocnionymi podeszwami, które mogły wytrzymać temperatury, w których topniało by żelazo. Właśnie wziął do rąk hełm, gdy usłyszał pukanie do drzwi.

- Boba? - spytał znajomy głos. - To ja, Ygabba-

- Oraz ja, Gab'borah - dodał drugi. - Czy możemy wejść?

- Jasne!

Boba otworzył drzwi. W holu stali Ygabba oraz Gab'borah. Oboje uśmiechali się od ucha do ucha.

- Pasuje! - Ygabba krzyknęła. - Wiedziałam, że będzie pasować!

Boba popatrzył na nią.

- Ty to zrobiłaś?

- Tak! Z jego pomocą. - wskazała kciukiem na swojego ojca. - Dlaczego myślisz, że tak bardzo chcieliśmy cię zmierzyć ostatnim razem, gdy tu byłeś? Wiedzieliśmy, że urosłeś od tego czasu – i wygląda na to, że mieliśmy rację!

Boba potrząsnął głową. Spojrzał na swoją nową zbroję, następnie na Ygabbę oraz Gab'boraha.

- To jest najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek dostałem - powiedział. Uniósł hełm. Oprócz tego. Oraz tego-

Sięgnął po książkę jego ojca i ostrożnie wsunął ją do kieszeni.

- Ygabba. Gab'borah. Jak mogę się wam kiedykolwiek odwdziaczyć?

Gab'borah potrząsnął głową.

- Uratowałeś moją córkę od tego okropnego Neimoidianina, Gilramosa - powiedział. - Będę ci zawsze dłużny.

- I nie zapominaj – uratowałeś też te wszystkie inne dzieci, Boba - Ygabba dodała. Popatrzyła na niego, następnie wskazała na jego hełm, uśmiechając się. - Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że wzięłam go za ciebie ze *Slave'a I*. Myślałam, że będziesz go chciał przymierzyć wraz zresztą zbroi. A zresztą wiesz, nie był to pierwszy raz, kiedy się opiekowałam twoim hełmem.

Boba się zaśmiał. Gdy pierwszy raz poznał Ygabbę, była dzieckiem ulicy, zmuszona, by kraść dla złego Gilramosa Libkatha. A jedną z rzeczy, którą próbowała ukraść, był jego hełm!

- To prawda - powiedział. - Lecz może to być ostatni raz. Jabba wysłał mnie na kolejną misję.

- Tak prędko? - spytał Gab'borah.

Boba przytaknął.

- Tak. Ale najlepsze jest to – to moje pierwsze zlecenie poza planetą!

- Super! - powiedziała Ygabba. W jej głosie była odrobina zazdrości. - Gdzie?

Boba się zawahał. Nie chciał niczego bardziej, niż powiedzieć im o swoim zadaniu. W końcu Gab'borah i Ygabba byli najbliższą rodzinie rzeczą, jaką Boba miał.

Lecz nie mógł ryzykować. Był teraz jednym z łowców nagród Jabby.

I chciał, żeby tak zostało.

- Nie mogę wam powiedzieć - rzekł. - Byłoby to zbyt ryzykowne. Nie tylko dla mnie, lecz i dla was.

Ygabba wydawała się zawiedziona, lecz jej ojciec przytaknął.

- Rozumiemy - powiedział. W jego głosie była tęsknota, lecz niebieskie oczy mu się świeciły. - Jesteśmy z ciebie bardzo dumni, Boba. Twój ojciec również byłby dumny.

Gab'borah włożył rękę do kieszeni tuniki i wyciągnął mały pakunek. - Proszę. Starczą ci na długi czas. Gdziekolwiek lecis, będziesz potrzebował jedzenia. - Boba wziął pakunek. Odpakował róg, by zobaczyć, co jest w środku.

- Racje glebowe! - wykrzywił się, po czym powiedział - To znaczy, dziękuję, Gab'borah.

Racje glebowe nie smakowały zbyt dobrze, lecz pojedyncza mała kostka dawała wystarczająco energii oraz wartości odżywczych na dzień ciężkiej pracy.

- Powinniśmy już iść - Ygabba powiedziała. Uśmiechnęła się do Boby. - Mam dla ciebie jeszcze jedną rzecz. Nie tak ekscytującą, jak racje glebowe, ale...

Wyciągnęła do niego mały przedmiot, może wielkości ręki Boby.

- Co to? - spytał, biorąc przedmiot. Był cięższy, niż wyglądał, zapakowany w szary plastalowy pojemnik.

- Niespodzianka - odpowiedziała Ygabba. - Poczekaj aż doleczysz tam, gdzie lecis. Wtedy go otwórz.

Boba kiwnął głową.

- Dzięki, Ygabba.
- Nie ma sprawy. Mam nadzieję, że ci pomoże. - Uśmiechnęła się raz jeszcze do Boby, wskazując na jego hełm. - Ty też się nim opiekuj. Nie będzie mnie tam, żeby cię wyręczyć!
Boba się uśmiechnął.
- Nie martw się - powiedział, machając im na pożegnanie, gdy się obrócili i odchodzili korytarzem. - Będę.

ROZDZIAŁ 5

Boba był poza planetą wcześniej, rzecz jasna.

Był na deszczowym Kamino oraz pogrzebał swojego ojca na Geonosis, pustynnej planecie jeszcze bardziej opustoszałej niż Tatooine. Był na Aargau, gdzie zdobył to, co pozostało z majątku jego ojca i zbadał zdradzieckie, przypominające labirynt Podziemie planety. Przed tym był jeszcze na księżycu Bogdenu oraz zatrutym świecie znanym jako Raxus Prime. Tam właśnie Boba spotkał człowieka, którego jego ojciec nazywał „Hrabią”.

Niektórzy znali Hrabiego jako Dooku, przywódcę Separatystów. Innym był znany jako Tyranus. Darth Tyranus był agentem, który wybrał Jango Fetta jako źródło niezmiernej armii klonów Republiki.

Teraz Republika oraz Separatyści toczyli ze sobą wojnę. Hrabia Dooku oraz Tyranus byli po różnych stronach konfliktu.

A tylko Boba Fett wiedział, że Tyranus i Dooku to jedna i ta sama osoba.

Ta wiedza uratowała Bobie życie na Aargau. Ta wiedza była bronią.

Jak każda broń, dawała Bobie wielką moc.

Jak każda broń, mogła zabić tych, którzy jej używali.

W kokpicie *Slave'a I* Boba upewnił się, że miał broń gotową do użytku.

- Plecak odrzutowy, blaster, generator do plecaka odrzutowego, paralizator jonowy, rakietka do wspinania - Boba odliczał każdy element śmiertelnie niebezpiecznego arsenału. - Wyrzutnia strzałek, wyrzutnie rakiet, miotacz liny...

Jabba był chciwy i ohydny i żądny władzy. Lecz gdy przychodziło do wyposażania swojego ulubionego łowcy nagród, był równie hojny, co jego Gamorrekańscy strażnicy byli głupi.

Nowa broń leżała w jednym z przedziałów *Slave'a I*: blaster, jonizatory, rakietki plazmowe. Oprócz tego, na prośbę Boby, Jabba załatwił instalację najnowszych zakłócaaczy sensorów na *Slave'ie I* oraz nowoczesną tarczę antyradarową. Lecz najlepsza z wszystkiego była para błyszczących blasterów Westar-34 przy pasie Boby.

- Nigdy cię nie zawiodę, ojcze. Nigdy, póki mam przy sobie te - Boba wymamrotał, sprawdzając komórkę energetyczną jednego z blasterów.

Kiedyś Westary-34 należały do Jango Fetta. Teraz były własnością jego syna. Były one zaprojektowane przez Jango oraz wykonane specjalnie dla niego. Wystarczająco kompaktowe, by zmieścić się w plecaku odrzutowym, były one wykonane z niemal bezcennego dalloriańskiego stopu, zaprojektowane, by wytrzymać ekstremalnie wysokie temperatury.

Boba nie wiedział, czego się może spodziewać na Xagobah. Lecz był prawie że pewien, że dużo się zacznie dziać, gdy tam dotrze.

Usadowił się za konsolą statku i wyznaczył kurs na Xagobah. Wyjrzał przez szybę kokpitu.

- Wygląda na to, że nie jestem jedynym łowcą nagród niemogącym się doczekać odlotu - powiedział.

Na lądowisku wokół niego, dziesiątki innych statków przygotowywały się do odlotu z Tatooine. Droidy Astromechaniczne oraz Ughnaughtcy mechanicy byli wszędzie, krzątając się, wykonując ostatnie poprawki statkom oraz śmigaczom. Na mglistym, czerwonym nie-

bie, Boba zauważył jeszcze więcej statków, błyskających niczym spadające gwiazdy. Docisnął zapalniki silników *Slave'a I*.

Z ogłuszającym rykiem oraz wybuchem płomieni z reaktorów fuzyjnych, *Slave I* wystrzelił z lądowiska.

- Tak!

Serce Boby biło z ekscytacją towarzyszącą każdej nowej misji. Pod nim, Morze Wydm rozciągało się niczym płomienie po powierzchni Tatooine. Tak jak płomienie, wspaniałe czerwono-pomarańczowe wydmy prawie że natychmiast stały się czarne, gdy *Slave I* przeleciał przez atmosferę planety i w ogrom kosmosu.

Boba sprawdził współrzędne Xagobah. Wyrzucił przez kokpit i zobaczył typowy błysk oraz blask planet i odległych gwiazd.

Zmarszczył brwi.

- Co to?

U dołu jego pola widzenia coś błyszczało i poruszało się jak asteroida. Coś, czego nie powinno tam być.

- W tym sektorze nie ma asteroid - Boba powiedział. - Żadnych przewrotów planet ostatnimi czasy...

Boba szybko sprawdził plan lotu *Slave'a I*. Nie było śladu aktywności meteorowej. Błyszcząca iskierka stawała się coraz większa. Boba pochylił się do przodu.

- To nie żaden meteor!

Instynktownie sięgnął po kontrolę wyrzutni rakiet *Slave'a I*.

- To myśliwiec! - krzyknął. - Ściga mnie!

Palce latały mu po konsoli. Natychmiast na ekranie pojawił się powiększony obraz śmigacza Koro-1. Boba wściekle uderzał w panel. Potrzebował rejestracji tego pojazdu...

Srebrne litery pojawiły się na ekranie. Andońska rejestracja, śmigacz zarejestrowany pod nazwisko Urzana Kanga z Krag Fanodo.

- Aqualish - Boba szepnął. - On również chciał to zadanie. Cóż, nie dostanie go!

Nagle pojawiła się przed nim biała smuga. *Slave I* zatrzęsł się tak, jakby zaczynał wychodzić z nadprzestrzeni.

- Strzela do mnie!

Boba natychmiast obrał postawę ofensywną. Andoński pojazd zniknął z pola widzenia.

- Ma urządzenie maskujące - Boba wyszeptał. - Cóż, ja też.

Boba uruchomił zakłócające sensorów *Slave'a I*, następnie aktywował detektory protosowe. Wskazywały mu, że Andoński statek był gdzieś za nim.

- Chcesz się pobawić w chowanego? - spytał. Złapał kontrolę dział laserowych *Slave'a I* i wystrzelił. - Chowaj się przed tym!

Wiązki energii przeszły czarną pustkę na zewnątrz statku. Znalazły cel i jakoby się wokół niego rozpląły. Kontury Andońskiego śmigacza się pojawiły, otoczone jasnym plazmowym płaszczem.

Andoński statek wydawał się unosić niczym kropla czekająca aż spadnie.

Chwilę później oślepiający błysk niebiesko-białej plazmy pochłonął pojazd Aqualisha.

- Mam cię! - Boba wykrzyknął.

Fale energii z wybuchu zatrzęsły *Slave'em I*, następnie zniknęły. Tam, gdzie przed chwilą był Andoński śmigacz, teraz znajdowały się drobne kawałki złomu, niczym miniaturowe pole asteroid.

- Cóż za świetny początek dnia! - Boba powiedział. Oczy mu rozbłysły, gdy aktywował program nawigacyjny *Slave'a I*. Pochylił się do przodu, programując współrzędne swojego celu. - Następny przystanek – Xagobah!

ROZDZIAŁ 6

Boba nie był zdziwiony, że Wat Tambor wybrał Xagobah na lokalizację swojej cytadeli. Cały sektor był popularny wśród przemytników podróżujących pomiędzy bardziej mieszkalnymi rejonami. Jabba miał tutaj kontrakty na wielu planetach.

I tak, dopóki nie dostał zlecenia, Boba nigdy nie słyszał, żeby gangster wspominał o Xagobah.

Nigdy nie słyszał, jak ktokolwiek o niej wspomina.

- Lecz oto ona - powiedział.

Przed *Slave'em I* pojawiła się w zasięgu wzroku planeta. Boba zamrugał, zastanawiając się, czy nie stało mu się coś ze wzrokiem.

Planeta wydawała się nieostra. Kontury miała zamazane, tak jakby ogromna ręka namalowała ją kolorowym tuszem, a następnie rozmazała.

Jednak w miarę, jak *Slave I* się zbliżał, Boba doszedł do wniosku, że problemem nie był jego wzrok, lecz Xagobah.

Cała planeta kipiała kolorami. Purpura, fiolet, lawendowy, bordowy, śliwkowy: każdy odcień fioleto, jaki Boba kiedykolwiek widział oraz wiele, jakich nie mógł sobie nawet wyobrazić. Kolory się przesuwały i zmieniały nad powierzchnią planety niczym ogromne, niespokojne kałamarnice demoniczne. Macki indyga oraz fioleto wystawały tysiące kilometrów do atmosfery, następnie zawracały. Gdy *Slave I* zaczął się zniżać, Boba dojrzał nieregularne błyski piorunów pod fioletową mgłą Xagobah.

Burze atmosferyczne.

- Niedobrze - powiedział sam do siebie.

Zobaczył też coś innego. Wisiał zawieszony w próżni nad planetą, bezpieczny od burz – jeden z największych pojazdów, jakie kiedykolwiek widział.

Republikański statek szturmowy.

- Traktują to na poważnie - Boba powiedział ponuro. Szybko się upewnił, że urządzenie maskujące *Slave'a I* było wciąż włączone. - A teraz – przyjrzyjmy się temu bliżej.

Podleciał *Slave'em I* tak blisko, jak tylko się odważył, do statku szturmowego. Był to Acclamator, jeden z transportów wojskowych zbudowanych specjalnie dla Republiki do transportu oddziałów klonów po galaktyce. Każdy statek miał miejsce dla szesnastu tysięcy żołnierzy-klonów oraz uzbrojonych maszyn kroczących, kanonierek, śmigaczy oraz zapasu amunicji.

Na pokładzie był też republikański personel – oraz dowódcy wojskowi na powierzchni Xagobah.

- A tam właśnie zmierzam - Boba powiedział. - Muszę się pospieszyć!

Popatrzył po raz ostatni na Acclamatora. Następnie docisnął napęd. *Slave I* wystrzelił w kierunku Xagobah.

Na zewnątrz, smugi fioleto oraz lawendowego przeleciały obok niego. Boba myślał o statku szturmowym. Zdecydowanie wyglądało to tak, jakby Republika wysłała całą armię klonów na Wata Tambora.

Z tego, co Boba wiedział o Separatystach, mieliby oni swoją własną armię, zaprogramowaną, by stawiać opór.

Armię droidów. Droidy bojowe, super droidy bojowe, droidy pająki, i tym podobne.

Boba zacisnął uchwyt na kontrolach *Slave'a I*. Z powodzeniem walczył z droidami na Tatooine, gdy ratował Ygabbę oraz resztę dzieci od złego Neimoidianina.

Lecz nigdy nie musiał walczyć z całą ich armią!

- Dobrze, że mam broję - powiedział. - Oraz blastery...

Program nawigacyjny statku pokazywał, że szybko zbliżał się do powierzchni. Wciąż nie był pewien, jak wygląda Xagobah z bliska.

Lecz wiedział, co tam znajdzie – kłopoty.

ROZDZIAŁ 7

Boba ustawił autopilot *Slave'a I* na tryb lotu. Na zewnątrz, strzępy purpurowej mgły przelatywały niczym stada uskrzydłonych mynocków. Boba patrzył, jak mgła się robi coraz gęstsza – i ciemniejsza – w miarę, jak się zbliżał do powierzchni Xagobah.

Wciąż nie mam pojęcia, jakie są rodzime formy życia na tej planecie, pomyślał. Wyjrzał przez szybę kokpitu. Prawie niemożliwe było dostrzec cokolwiek, co oznaczało, że innym również byłoby trudno go zobaczyć.

- Co jest dobre. - Boba sięgnął po plecak odrzutowy. - Republika poluje na Wata Tambora. A Wat Tambor będzie zajęty bronieniem się przed armią klonów – i nikt nie byłby zadowolony, że mnie widzi!

Powrócił do konsoli *Slave'a I*. Na zewnątrz, mgła się już nie ruszała. Zamiast tego, wisiała nad wszystkim niczym ciężka, fioletowa kurtyna. Gdy *Slave I* leciał nisko nad powierzchnią planety, Boba po raz pierwszy zdołał ujrzeć Xagobah.

A to, co zobaczył, było odrażające!

- Grzyby? - powiedział.

Z tym, że nie były to zwykłe grzyby. Były one wielkości drzew; równie wysokie, co formacje skalne otaczające fortecę Jabby. Widział pomarańczowe grzyby w kształcie wież, z długimi, zwisającymi z nich kończynami, przypominającymi ręce. Widział całe lasy parasolowatych grzybów, żółtych, karmazynowych, toksycznie zielonych. Miejscami ziemia była pokryta jakby dywanem małych, wijących się kończyn, przypominając włosy lub futro. Falały i zmieniały kolor w miarę, jak statek przelatywał nad nimi, zmieniając barwę z różowych na ciemnofioletowe. Niektóre z najwyższych grzybów miały na sobie inne, wyglądające jak drabiny wspinające się po nich. Dosłownie wspinające się, niczym ślimaki albo ogromne gąsienice.

- Ohyda! - powiedział.

Choć było to również poniekąd fajne, w obrzydliwy sposób. Patrzył na wielkiego grzyba, wyglądającego jak nadęta meduza. Pulsowała i wydalała z siebie chmury purpurowo – czarnego dymu, gdy statek Boby unosił się nad nią.

Z tym, że nie był to dym, tylko zarodniki.

- To jest ta mgła - Boba zdał sobie sprawę. - Nie para wodna, czy chmury – lecz miliardy miliardów zarodników grzybów! Ciekawe, czy bezpiecznie jest oddychać?

Szybko zalogował się do komputera medycznego statku i przeczytał na nim informacje.

Rekomendowane jest wzięcie antidotum zanim się postawi stopę na Xagobah, na wszelki wypadek. Większość grzybów jest nieszkodliwa, lecz niektóre mają toksyny, które mogą być śmiertelne w razie połknięcia lub inhalacji. Inne mogą wywołać zmiany u nierodzimy istot biologicznych.

- Takich jak ja? - Boba spytał, wyciągając z apteczki mały inhalator.

Boba wciągnął antidotum, po czym wyrzucił pusty inhalator.

- Zmiany - powiedział. - Ciekawe jakie zmiany? Cóż, będę miał mnóstwo czasu, by się dowiedzieć – potem. Teraz jestem tu po Wata Tambora.

Slave I leciał już teraz pod kapeluszami grzybów.

Lecz w oddali, Boba zauważył coś innego niż gumowate grzyby oraz wijące się wici. Ogień laserowy.

Wyjrzał przez szybę, gdy wiązki jasnoniebieskiego ognia wybuchły wśród mgły fioleto- tu i czerni. Przez chwilę ich blask oświetlił scenę pod nim.

- Tam jest - Boba odetchnął.

Pośrodku dużej polany wznosiła się ogromna struktura: forteca Wata Tambora. Było zbyt mgliście, by widzieć dokładnie. Lecz Boba widział ciemne kreski około 500 metrów od cytadeli – seria okopów wykonanych przez żołnierzy Republiki. Więcej ognia laserowego wydobywało się stamtąd, ukierunkowanego na ściany fortecy. Boba z trudem zdołał dostrzec miriadowe formy przemieszczające się wśród cieni.

- Żołnierze-klony - powiedział na głos, przygotowując się do lądowania. - Tutaj jest cała akcja. A to oznacza, że tam właśnie lecę!

Na Tatooine, jedną z pierwszych rzeczy, jakie Boba zrobił, to zaaranżował całkowity przegląd swojego statku przez Mentisa Qinx. W tamtym czasie Boba nie miał żadnych kredytów, którymi mógł zapłacić za usługę. Za pomocą blefu przekonał jednak droida administracyjnego Qinx, emanując pewnością siebie oraz autorytetem.

Blef się opłacił. Qinx zaktualizował komórki mocy *Slave'a I*. Zainstalował serię okryć kamuflujących, które osłaniały nowe turbolasy oraz wyrzutnie rakiet. Zaktualizował konsolę inżynierską. Wymienił nawet obecną sieć komputerową na nową, większą. Kiedyś ta sieć będzie akomodować bardziej zaawansowany sprzęt maskujący.

Niestety, Qinx go jeszcze nie zainstalował.

- To będzie twój następny duży projekt, Qinx. - Boba mu powiedział.

Podniósł wzrok na ogromny republikański statek szturmowy unoszący się tuż nad atmosferą planety. Tarcza *Slave'a I* sprawdziła się tam doskonale, z oczami Republiki skierowanymi na powierzchnię Xagobah.

Lecz czy zadziała tutaj, na powierzchni planety?

Aktywował wszystkie urządzenia maskujące statku i zaczął lądować.

Pod nim, las grzybów falował i chwiał się w miarę, jak *Slave I* się zniżał. Chmury zarodników dryfowały za kokpitem. Niedaleko przed nim, błyski niebieskiego oraz złotego eksplodowały wśród fioletowej mgły. Wylądował za pierwszym frontem; jeśliby spróbował dolecieć prosto do cytadeli, zarówno republikańskie, jak i separatystyczne siły by go zobaczyły. A Boba potrzebował zarówno podstępu, jak i elementu zaskoczenia, jeśli miał schwytać Wata Tambora.

Więcej ognia laserowego.

Siły Republiki były bardzo blisko.

Zatrząsnąwszy się, *Slave I* wylądował na ziemi.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał. Przeszedł go dreszcz, lecz go zignorował. Panowanie nad strachem stało się dla niego czymś naturalnym. Spojrzał na książkę swego ojca, odłożoną bezpiecznie pod konsolą. Nie tak dawno temu, Boba wziąłby ją ze sobą na szczęście, oraz żeby mu dodawała otuchy.

Lecz nie teraz. Boba wykształcił zdyscyplinowanie, a z tym przyszła pewność siebie. Nauczył się na pamięć każdego słowa rady Jango. Teraz Boba nosił pamięć swojego ojca w sobie, razem z wiedzą o własnej sile.

A co do szczęścia? Boba wziął głęboki oddech. Sami decydujemy o naszym szczęściu, mówił mu Jango. Ostrożność, spryt, przygotowanie – z tego właśnie składa się szczęście.

A, no i świetna para broni nie przeszkadza, jego ojciec dodał z nieczęstym uśmiechem.

Na samą myśl o Jango, Boba uśmiechnął się smutno.

- Cóż, mam broń, to na pewno. - powiedział.

Sprawdził szybko swoje uzbrojenie, wsuwając w jedną dłoń ręczny miotacz. Drugą ręką sprawdził swoje uzbrojenie przy pasie.

Wibronóz; pojedynczy granat kriobanowy подарowany mu przez Jabbę jako nagroda za poprzedni sukces; blastery. Mandaloriańska zbroja, mocniejsza i twardsza niż skóra chrysalidowa, równie giętka co skóra Boby.

To jest niesamowicie wygodne! Pomyślał, wyginając ręce. Upewnił się, że blastery Westar miał w pełni naładowane. To powinno wystarczyć...

Ruszył w stronę włazu, po czym się zatrzymał. Jego wzrok spoczął na małym obiekcie leżącym obok konsoli.

Dar Ygabby.

Podniósł go, raz jeszcze dziwiąc się, jak ciężki był na swój rozmiar. Otworzył go ostrożnie.

- Wow! - Otworzył oczy ze zdumienia. - Holocaun!

Przyjrzał mu się z bliska: kompaktowa komórka mocy, generator oraz projektor hologramu, nabój hologramowy oraz tuner. Gdy go obrócił, wysunął się z niego mały dokument tekstowy. Boba rozpoznał schludne pismo Ygabby.

Boba,

Załóżę się, że tego się nie spodziewałeś! Użyłam rejestratora holograficznego Jabby, by zeskanować ci obraz na naboju hologramowym. Zobaczenie go będzie twoją następną niespodzianką!

Zła wiadomość jest taka, że nie możesz go zobaczyć, dopóki go nie użyjesz - a komórka mocy starcza tylko na dwie minuty. Więc zostaw go, dopóki nie będziesz go naprawdę potrzebował. Nie mogę się doczekać usłyszeć, jak ci wszystko pójdzie!

Twoja przyjaciółka, Ygabba.

Boba pokręcił głową w zdziwieniu.

- Ygabba, masz z pewnością najlepszy gust w prezentach - powiedział w końcu. Przypiął holocaun do pasa. - To chyba na tyle...

Był gotowy wyruszyć. Przez chwilę popatrzył z tęsknotą na plecak odrzutowy. Z pewnością przyspieszyłby poruszanie się.

Lecz gdy sięgnął po niego, usłyszał odgłos ognia laserowego z zewnątrz. W odpowiedzi rozbrzmiała kolejna wiązka, a po niej wybuch.

Boba potrząsnął głową.

- Zbyt ryzykowne.

Wahając się, zostawił plecak odrzutowy na swoim miejscu. Poprawił sobie hełm tak, że zakrywał mu twarz i postawił krok do przodu, otwierając śluzę. Przez jedną, ostatnią chwilę, zatrzymał się i spojrzał raz jeszcze na wnętrze swojego statku – miał nadzieję tu wrócić. Następnie zamknął śluzę i otworzył zewnętrzny właz.

Otoczył go powiew ciepłego, wilgotnego powietrza. Pachniało zgnilizną oraz zastałą wodą. Błysk ognia z dział sprawił, że ogromne grzyby zatrzęsły się jak trawa na wietrze. Usłyszał odległy szum komunikatorów oraz krzyki, wrzask czegoś, co nie było człowiekiem.

Boba się uśmiechnął.

- Wacie Tamborze, nadchodzę!

Z ręką nad blasterem, Boba Fett wykonał pierwszy krok na powierzchnię Xagobah – a zarazem w nieznane.

ROZDZIAŁ 8

Slave I wylądował na małej polanie pośrodku grzybowego lasu. Po upewnieniu się, że rejon jest bezpieczny, Boba pobiegł szybko aż na skraj polany. Zatrzymał się i popatrzył za siebie.

Jego statek zniknął.

Przez chwilę serce Boby zamarło.

- Co? - czy siły Republiki mogły go tak szybko znaleźć?

Wtem sobie przypomniał. Osłona Jabby! Zaśmiał się gorzko.

- Oto dowód, że urządzenie maskujące działa!

Boba popatrzył na miejsce, w którym jego statek był ukryty. Wróć tak szybko, jak to możliwe, pomyślał. Z Watem Tamborem – martwym bądź żywym!

Dotknął hełmu na pożegnanie, obrócił się i począł się przedzierać przez las.

- Ugh! - Boba uderzył gruby, obślizgły purpurowo-zielony wąż, który opadł na niego z gałęzi znajdującej się nad nim. Wąż zwinął się jak cratsch przygotowujący się do uderzenia. Chmura zielonej mgły wydostała się z niego, razem z zapachem gnijącego mięsa.

Boba zmarszczył brwi w niesmaku.

- Dziwne, Jabba nic nie wspominał o ruszających się, bijących grzybach!

Aktywował system filtracyjny w hełmie. Gdy postawił krok do przodu, but mu ugrzązł w lepkiej mazi.

- Ugh! - Boba znów powiedział.

Z powietrza, pokryta grzybami powierzchnia Xagobah wydawała się twarda. Lecz teraz, gdy na niej stał, albo raczej w niej, Boba zdał sobie sprawę, że miała konsystencję mu-grubeńskiego śluzu. Podciągnął nogę do góry. Rozbrzmiał głośny dźwięk przypominający beknięcie, gdy grunt pod nim usiłował zassać mu obuwie.

Może zostawienie plecaka odrzutowego nie było aż tak dobrym pomysłem...

Zanim mógł postawić kolejny krok, ogłuszający świst przedarł się przez powietrze nad nim, a po nim nastąpił oślepiający błysk ognia. Instynktownie, Boba rzucił się do tyłu w stronę parasolowatego grzyba trzykrotnie jego wzrostu.

To był jego pierwszy błąd.

- Hej! - Boba krzyknął.

Ogromny grzyb miał szczelinę z boku, wystarczająco dużą, by Boba mógł się skryć w środku. Myślał, że będzie mógł się tam ukryć przed tym, kto strzelał. Zamiast tego, wielkie obślizgłe płyty grzybu nagle wyłoniły się z grzyba, niczym wielkie skrzydła mynocka. Otuliły go, dopóki nie znalazł się w obślizgłym kokonie, z którego wystawała mu tylko głowa. Następnie targnęły go do tyłu w kierunku bazy grzyba-drzewa. Zapach zgnilizny wypełnił jego nozdrza. Ręce Boby wyleciały na zewnątrz, desperacko próbując go uwolnić.

To był jego drugi błąd.

W chwili, gdy jego palce dotknęły grzybu, utknęły. A im bardziej się miotał, tym robiło się gorzej. W przeciągu kilku minut nie mógł się wcale ruszać. Czuł blaster przy biodrze, lecz nie był w stanie po niego sięgnąć. Opuszkami palców był w stanie dotknąć rękojeści wi-bronoża, lecz nie mógł go wyjąć. Mógł z trudem oddychać.

A to, niestety, wydawało się celem tego wszystkiego.

Ponieważ Boba wciąż widział. A to, co widział, to to, że powoli był przyciągany w stronę szczeliny w środku wielkiego drzewa-grzyba.

Z tym, że nie była to zwykła szczelina. I nie była to dziura. Ruszała się, otwierała coraz szerzej w miarę, jak się do niej zbliżał.

Nagle Boba zdał sobie sprawę z tego, czym jest – otworem gębowym.

ROZDZIAŁ 9

Grzyb przypominał jakąś okropną hybrydę grzyba i pająka. Fałdy pożerające Bobę były jak sieć.

A gęba – cóż, była dokładnie jak gęba! Boba czuł ją, zgniły zapach tego, co było jej ostatnim posiłkiem. Widział ją, rząd nad rzędem czerwonych, ostrych jak żyłeczka zębów głęboko w pniu grzyba.

Co teraz?

Spróbował kopania jeszcze raz.

Nic. Był całkowicie unieruchomiony. Gęba grzybiastego drzewa była oddalona od niego już tylko o parę metrów. Boba patrzył na nią przez hełm. Nie mógł nimi ruszać, ale i tak zacisnął pięści z wściekłości.

Czekaj chwilę...

Tuż pod jedną z rąk czuł wierzch czegoś twardego i gładkiego: sprayu Stokhli. Boba wziął go od koczownika Stokhli, który utrudniał mu życie w Mos Eisley pewnego dnia.

Przypiął go do swojego pasa z bronią i, prawdę mówiąc, praktycznie o nim zapomniał, pomimo faktu, że takie sprays kosztowały dużo kredytów. Był mały i poręczny, z nakładką ogłuszającą na dole i nabojami mgły sprayowej kilka milimetrów wyżej.

Blllaaaerghhh...

Z grzybiastego drzewa wydobył się dźwięk, ohydny jęk radości, który Boba zinterpretował jako „czas na kolację!”

- Jeszcze nie - burknął. Znów zacisnął dłoń, opuszkami palców przejeżdżając po sprayu. Nie miał jak wycelować w grzyba, ani jak dostroić sieć mgły sprayowej, ani ładunku elektrycznego, który dostarczała. Jeśliby spaliła na panewce, Boba znalazłby się znów zaplątany, wciąż niezdolny do ruchu.

Nie, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie!

Aaaaerghhhh!

Blado-purpurowy język wysunął się z oślinionej gęby grzyba. Plamki śmierdzącej śliny rozbryzgały się na hełmie Boby. Z każdą odrobiną siły, jaką posiadał, Boba skupił się na poruszeniu palcem w stronę sprayu.

Tylko jota, tylko najmniejszy ułamek – i

Była zagłuszona odpowiedź. Przy boku Boby spray się zatrząsł, jakby miał eksplodować – a następnie to zrobił!

- Mam cię! - Boba krzyknął.

Błyszcząca mgła wyleciała z końcówki sprayu. Otoczyła Bobę, lecz nie przyłgnęła do niego. Zamiast tego przymocowała się do obślizgłej membrany, która go otaczała, niczym kokon. Stworzyła drugą sieć, wystarczająco mocną, by utrzymać szarżującego myntora.

Potężny ładunek elektryczny przepłynął przez sprayową sieć. Dobrze, że mam hełm i zbroję! Boba pomyślał.

Gdy pulsujący ładunek ogłuszył swoją ofiarę, Boba rzucił się do przodu. Wokół niego, grzybiasta membrana sflaczała, a następnie się cofnęła.

Był wolny!

Usłyszał niezadowolony, siorbiący odgłos, następnie coś w rodzaju skwierczącego jęku. Po chwili był na ziemi, tocząc się w przeciwną stronę niż grzyb-drzewo. Zatrzymał się, następnie wstał na nogi. Poszukał ręką sprayu ogłuszającego, następnie go wyłączył.

- Cóż, to się przydało - powiedział.

Parę metrów dalej, grzyb-drzewo się zatrząsło i jęknęło. Sieć ogłuszająca okrywała mu gębę. Błady jęzor dźgał żałośnie w sieć, podczas gdy nad nim, parasolowata korona drzewa zwiotczała.

- Tylko wspaniały łowca nagród mógł coś takiego zrobić! - Boba powiedział, otrzepując się. - I-

Zesztywniał. Ręka unosiła mu się nad blasterem, gdy się obrócił, tak wolno, jak tylko się ważył, by stawić czoło stworzeniu za sobą.

- A tylko głupiec podszedłby do drzewa flimmelowego podczas godzin żywienowych. - powiedziało stworzenie.

- Kim jesteś? - Boba spytał.

Lecz może powinien był spytać, czym jesteś?

Istota obejrzała go spokojnie. Była gadzinowata, nieco wyższa od Boby i z długimi, umięśnionymi rękami i nogami, na których miała purpurowo-szary kombinezon. Jej duże oczy w kształcie migdałów były chłodno inteligentne, a jej usta wykrzywione w delikatnym uśmiešku, ukazując ostre zęby. Jej drutowate przedramiona były owinięte wokół karabinu blasterowego.

A był on skierowany prosto na Bobę Fetta.

ROZDZIAŁ 10

- Kim jestem? - powtórzyła istota. - Na Xagobah lubimy zadawać pytania, zanim na nie odpowiemy. Ale-

Nad głowami przeleciała ze świstem rakietą. Boba zmarszczył czoło. Chwilę później rakietą wybuchła nieopodal, posyłając go na kolana. Podniósł wzrok, by zobaczyć, jak istota patrzy się na niego z góry, wciąż niepokojąco spokojna.

- Ale wygląda na to, że na chwilę obecną jesteśmy po tej samej stronie - stworzenie kontynuowało, tak, jakby nic się nie stało. Lufy blastera nie spuszczało z Boby, lecz gestykulowało mu, by wstał.

- A jaka to strona? - spytał Boba.

- Zła. - odpowiedziała istota, gdy nad nimi przeleciał kolejny pocisk. - Szybko!

Wetknęła karabin blasterowy Bobie w bok, gestykulując ku grzybowemu lasowi.

- Nie ma szans! - Boba potrząsnął głową. - Już zrobiłem plany na kolację i nie polegają one na tym, że ja będę głównym daniem.

Stworzenie wydało z siebie niski pomruk. Boba zeszytywniał, po czym zdał sobie sprawę, że stworzenie się śmiało.

- Plany na kolację! - powtórzyło. - To dobrze! Pora karmienia się skończyła - Znow go dźgnęło, tym razem mocniej. Po chwili wahania, Boba zaczął iść w stronę grzybowego lasu.

- Drzewa flimmelowe mają połączone korzenie pod ziemią - kontynuowało stworzenie. - Mają tysiące lat, a gdy jedno zostaje skrzywdzone, wszystkie cierpią. A tamto było bardzo mocno skrzywdzone!

Wskazał na drzewo flimmelowe, z którego Boba uciekł. Jego korona się w całości złożyła. Wyglądało jak zamknięty - i pogrążony w żalobie - parasol.

- Żadne z nich nie będzie głodne przez pewien czas. - Istota posłała Bobie pełne podziwu spojrzenie. - Dałeś mu niezłego kopa.

- Dzięki - powiedział Boba. Popatrzył na stworzenie z ostrożnością. Lecz jego własna mina, gdy gapił się z powrotem na niego, zdradzała głównie ciekawość. Boba ułożył rękę w taki sposób, że była blisko blastera.

Jak sobie najlepiej poradzić z tą istotą - czymkolwiek ona jest? Zastanawiał się.

Istota była uzbrojona, lecz Boba również. Mógłby ją zastrzelić - lecz co, jeśli w pobliżu były inne?

Popatrzył na nią kątem oka. Gdy to robił, echo ognia laserowego sprawiło, że otaczający las grzybowy zatrzęsł się tak, jakby przedarła się przez niego wichura.

Nie wiem nawet, po której jest stronie konfliktu, Boba rozmyślał.

Nagle staccato z komunikatora go przekonało.

To było o wiele za blisko, Boba pomyślał. A jedno spojrzenie na istotę wystarczyło mu, by móc stwierdzić, że czuł to samo. Boba postanowił wziąć sprawy w swoje ręce. Poprawił sobie hełm na głowie, wyprostowując ramiona, by sprawiać wrażenie jak najwyższego.

- Powinniśmy znaleźć schronienie - szybko - powiedział.

Ku jego zdziwieniu, stworzenie przytaknęło.

- Tędy - powiedziało, udając się w kierunku lasu. Boba szedł za nim, próbując się nie potknąć o kupki blade świecących grzybów przypominających malutkie miasta rozrzucone pod stopami. Trzymał dłoń na broni, przypatrując się cienistym grzybom wokół siebie, szukając śladów pułapki.

Na szczęście nie widział nic, z wyjątkiem kupek świecących grzybów oraz sporadycznych drzew flimmelowych. Biegli przez kilka minut. Rozbrzmiał kolejny odgłos z komunika-

tora – tym razem o wiele bliższy. Boba zdołał nawet wyłapać słowa: Tambor Angalarra, Ulu, Podejrzewana pułapka..

Podejrzewana pułapka. Boba ścisnął rękojeść blastera. Niecałe metry przed nim, jego gadzinowaty przewodnik minał ogromne drzewo-grzyb koloru smoły. Tak, jak drzewa flimmelowe, u góry miał koronę w kształcie parasola. Jednakże, w przeciwieństwie do drzewa flimmelowego, to miało giętkie kończyny wystające z siebie. Przypominały Bobie szprychy u koła – jeśli by się zaczęły topić.

- Tędy! - istota szepnęła. Wykonała sus w powietrzu i zwinnie przełożyła ręce przez najniższą gałąź. Cały grzyb zdawał się przechylić na bok. Prawie natychmiast się jednak wyprostował, zwijając i rozwijając kończyny niczym palce.

- Szybciej! - stworzenie krzyknęło. - Chodź tu!

Boba podniósł wzrok, by na nie popatrzeć. Jego zielone oczy bez powiek gapiły się na niego z powrotem. Następnie się obróciło i zaczęło się wspinać po grzybie. Gdy to robiło, wydawało z siebie delikatne kliknięcia, tak, jakby rozmawiało z grzybem.

Całe drzewo się zatrzęsło, gdy niski, dudniący odgłos rozszedł się w powietrzu.

- Yy, dzięki, ale nie! - Boba krzyknął. Począł się wycofywać. Zanim mógł się ruszyć, najniższa gałąź drzewa podpełzła ku niemu. Owinęła mu się wokół talii, mocno, lecz delikatnie; następnie z szybkością błyskawicy podciągnęła go w powietrze.

Kaflooom!

Fragmenty ziemi oraz grzyba go obsypały. Boba spojrział na ziemię z przerażeniem. Tam, gdzie przed chwilą stał, była teraz dziura móździerzowa wielkości śmigacza. Płomyki rozbłyskiwały wokół jego obwodu. Czuł ozonowy smród granatu pulsowego.

- To było zdecydowanie za blisko! - Boba wykrzyknął. Obok niego, stworzenie przytaknęło.

- Doprawdy - powiedziało.

Boba zamrugał. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajdował: w połowie wysokości ogromnego grzyba, z uzbrojonym oraz możliwie głodnym gadem obok niego. Mieli nad nim przewagę liczebną, przynajmniej na chwilę obecną.

Lepiej zgrywać głupa, pomyślał.

- Yy, wiem, że nie lubisz odpowiadać na pytania – ale czy mógłbyś mi powiedzieć, co się dokładnie dzieje?

Istota spojrzała na niego swymi spokojnymi, inteligentnymi oczami. Popatrzyła na niego z góry na dół, wpatrując się w jego mandaloriańską zbroję i hełm oraz bronie. Jedną z łap pogłaskała trzon grzyba-drzewa.

Po chwili przemówiła – lecz nie w odpowiedzi na pytanie Boby. Wydała z siebie serię kliknięć i ryków, na pozór skierowanych ku drzewu. Drzewo odpowiedziało jej, wyciągając długą, szczupłą kończynę w stronę głowy Boby.

Ułp! Pomyślał, lecz nie ruszał się. Kończyna dotknęła jego hełmu, następnie piersi. Została tam, przyciśnięta do gładkiej zbroi. Boba czuł, jak kołacze mu serce. Po chwili zorientował się, że drzewo je również czuło.

Sprawdza mnie!

Boba poczuł coś w rodzaju podziwu. Gadzina popatrzyła na Bobę i przytaknęła. Otworzyła usta w uśmiechu, ukazując rząd ostrych jak brzytwa zębów.

- Grzyb ma prymitywny system sensorowy, który czyta ciepło oraz ruch. Rozpoznaje przyspieszony puls serca. Twój strój sugeruje, że jesteś wojownikiem. Podejrzewam, że najemnikiem, mającym zamiar mnie zaatakować. Ja nie jestem wojownikiem.

Stworzenie oparło się o pień grzyba. Jego zielone oczy spochmurniały.

- Lecz nauczyłem się nosić przy sobie broń, jak widzisz. Nazywam się Xeran. Jestem Xamsterem. Moja rodzina była związana z tym drzewem malvilowym, Malubim, przez tysiąc

obrotów Xagobah. Kiedyś setki nas żyły tutaj i zbierały żniwa z zarodników Malubi'ego. Teraz zostałem tylko ja.

Głos Xerana stał się smutny.

- Wojna dotarła na Xagobah. Choć nie chcieliśmy mieć z nią nic wspólnego, mimo to nas dotknęła. Wielu z moich ludzi zostało zmuszonych, by walczyć po jednej stronie albo drugiej. Wielu innych uciekło, lecz zostało zastrzelonych. Nasze drzewa malwilowe umierają z zaniedbania oraz samotności. A teraz jestem złapany pomiędzy dwoma armiami... - Podniósł jedną łapę i wskazał. - Tam. Widzisz ich?

Boba skupił wzrok, lecz nawet regulowanie skupienia wizjera hełmu nie pomagało.

- Nie - odparł.

Stworzenie wydało z siebie kolejną serię kliknięć. Drzewo-grzyb – Malubi – wysunęło kolejną kończynę. Ta była grubsza i sztywniejsza. Istota wskoczyła na nią, następnie wskazała Bobie, by zrobił to samo. Zrobił to, a stworzenie go złapało, po czym kończyna ich podniosła wysoko, wysoko do góry, aż byli na samym szczycie Malubi'ego.

- Wow - Boba powiedział ze zdumieniem.

Byli tutaj ponad aksamitną mgłą purpurowych zarodników. Boba widział korony grzybowego lasu kołyszące się delikatnie pod spodem. Widział małą polanę, na której został *Slave'a I*, choć oczywiście statek był dla niego niewidzialny pod swoim urządzeniem maskującym.

I-

Bobie zaparło dech w piersiach. Chwycił się mocno gumowatej kończyny Malubi'ego. Cieszył się, że Xeran nie miał jak zobaczyć jego twarzy pod mandaloriańskim hełmem. Ponieważ wierzch drzewa malwilowego dawał mu również wyraźny i przerażający widok tego, po co tu przyjechał.

Z powietrza, okopy Republiki wyglądały jak kreski w ziemi. Teraz Boba widział, jak dokładnie zostały one wykonane. W każdym z nich mieściło się około trzydziestu żołnierzy-klonów, ciężko uzbrojonych. Fale ognia wylatywały z okopów, przelatując przez powietrze w kierunku fortecy. Z każdą salwą, grupa żołnierzy-klonów szarżowała z okopów -

Tylko po to, by się spotkać z szarżą droidów z drugiej strony!

Boba zagwizdał. Siły Republiki były imponujące – podejrzewał, że były setki, może tysiące żołnierzy-klonów rozsianych po polu bitwy. Lecz cytadela była tak dobrze broniona, że Bobie mimowolnie zaparło dech z wrażenia.

- Jabba miał rację co do Wata Tambora - wyszeptał. Mistrz technologii obronnych, gangster mu powiedział, a teraz Boba widział, jakie to było prawdziwe. Przez mgłę zarodników oraz ognia laserowego, Boba po raz pierwszy ujrział armię droidów Separatystów: szeregi droidów bojowych maszerujących nieubłaganie, niestrudzenie, w stronę żołnierzy-klonów, by przedrzeć się przez szeregi Republiki.

Wyglądały wystarczająco źle. Lecz to, co sprawiło, że Boba jeszcze bardziej ścisnął blaster w rękę, to nie były ścierające się ze sobą armie.

Po raz pierwszy widział cytadelę Wata Tambora.

ROZDZIAŁ 11

- Więc oto ona - Boba szepnął.

-Tak - Xeran potwierdził. - Cytadela Mazariyan. Źródło wszystkich moich problemów.

- I początek moich - Boba odrzekł, próbując się nie trząść.

Mazariyan wznosił się z powierzchni planety, niewyobrażalnie ogromny, przytłaczająco czarny. Jego boki przypominały schodki, niczym boki starożytnych piramid z Yavina. Lecz nawet z tej odległości Boba widział, że nie był to tylko budynek.

Matowo czarna, gładka powierzchnia zdawała się pulsować życiem. Błyski energii przelatwały po jej powierzchni niczym błyskawice. Z górnych poziomów wystawały błyszczące czarne szpice. Były one dwukrotnie dłuższe od ciała Boby i ostre jak oszczepy. Widział miejsca, gdzie ciemne kształty były na nie nadziane. Na jego oczach, jeden ze szpiców zaczął się powoli cofać, jak maszyna. Boba patrzył z przerażeniem, jak opadło z niego wiotkie ciało, spadając i odbijając się od boku fortecy.

- Tyran, który jest tam zaszyty, pokręcił ewolucję form życia z Xagobah - Xeran powiedział. Ton jego głosu był spokojny, lecz Boba widział, że twarz istoty była napięta. - Wziął grzyby, które były nieszkodliwe, żywiące się tylko bakteriami. Wziął nasze delikatne drzewa malwilowe. Za pomocą bioinżynierii zmienił je tak, że teraz są skrzywione i zabijają rzeczy, którymi się nie żywią.

- Takie rzeczy, jak humanoidy - Boba powiedział cicho.

- To prawda - Xeran się zgodził. - Oraz Xamsterów.

- Jak się nazywa ten tyran? - Boba spytał.

Lecz wiedział już, jaka będzie odpowiedź.

- Wat Tambor - Xeran powiedział. - Jest zły. Oraz, jak widzisz, przyprowadził do nas zło-

Xeran wskazał miejsce, gdzie ciemna masa się ciągnęła przez około pięćset metrów od cytadeli w jej długim cieniu.

- To tylko część wojsk Republiki, tam skupiona. Oblegają cytadelę już przez tygodnie. Nieważne, ilu się zjawi, nielicznym udaje się wejść do środka. A gdy już to zrobią, słyszymy plotki o tym, co znajdują w środku. Władza nad technologią uczyniła Wata Tambora bezlitosnym. Nie ma więźniów w jego cytadeli. Nie ma też ocalałych.

Boba popatrzył z powrotem na Mazariyana. Zauważył, że nie mógł spuścić z niego wzroku, pomimo jego okropieństwa.

- Republika używa żołnierzy-klonów - powiedział, bardziej do siebie samego niż do Xerana.

- Tak. Kilka razy już Republika zmusiła moich ludzi do walki, płacąc im. Mimo to Republika straciła wielu żołnierzy nie będących klonami. Żołnierzy, na których stratę nie mogli sobie pozwolić. Dlatego ich wodzowie przysłali Generał Jedi zwaną Glynn-Beti, by przejęła dowództwo nad ich siłami.

Oczy Boby spochmurniały.

- Glynn-Beti? - nie powiedział tego, o czym myślał: To ta Jedi, o której mi mówił Jabba.

- Tak. Glynn-Beti to Mistrzyni Jedi oraz nieustraszona wojowniczką. Sprytna i przebiegła.

- Nie może być tak sprytna - Boba powiedział. Uśmiechnął się chłodno. - Gdyby była, jej żołnierze by już schwytali Wata Tambora i przejęli cytadelę.

Ku zdziwieniu Boby, gadzinowata istota po raz kolejny wydała z siebie ryk, który u Xamsterów był śmiechem.

- To bardzo zabawne! - Zielone oczy Xerana skupiły się na Bobie. - To rzadki dar, by być zdolnym dostrzegać zabawność w niebezpieczeństwie śmierci.

Przyjrzał się Bobie bardziej uważnie.

- Nie powiedziałeś mi swojego imienia, obcy, ani po co tutaj jesteś. I nie będę cię pytał. Podejrzewam, że mamy wspólnego wroga. A jeśli mam rację, to lepiej, bym nie znał twojego celu. W ten sposób cię nie zdradzę.

Boba przytaknął.

- Dziękuję - powiedział.

- Choć mogę, być może, ci pomóc. - Xeran rzucił okiem na pas z bronią Boby. - Jesteś już dobrze uzbrojony. Lepiej niż ja - powiedział, dotykając swojego blastera. - Moja broń

pochodzi od żołnierza, którego byłem zmuszony zabić w samoobronie. Skrzywdziłby Malubi'ego.

Xamstar pogłaskał drzewo malwilowe.

- Nie, obcy. Nie podejrzewam, bym mógł ci zaoferować lepszą broń. Lecz mogę ci coś doradzić.

- Na całym tym terytorium trwa wojna. Bitwy zdarzają się cały czas. - Xeran wskazał na pole walki pod nimi. - Twoja jedyna nadzieja, by podejść pod cytadelę, to podejść od północy – to ta odległa strona, tam.

Serce się Bobie zapadło.

- Pomiędzy tu, a tam, jest z tysiąc żołnierzy-klonów! - poklepał swój blaster, po czym potrząsnął głową. - Lecz nie mam wyboru, więc- - Zaczął schodzić na dół.

- Czekaj - chłodna, łuskowata łapa Xerana łagodnie go powstrzymała. - Może i nie masz wyboru. Lecz masz sposób, by podejść tam, nie zostając zauważonym.

Xamster się obrócił. Stając na palcach, wyciągnął szpony, by wziąć ciemno purpurową kulę z łodygi drzewa malwilowego. Gdy to zrobił, mała chmura fioletowego dymu wyleciała z kuli, po czym zniknęła. Po raz kolejny Boba poczuł, jak drzewo się trzęsie, a następnie uspokaja.

- Ta kula zawiera zarodniki Malubi'ego - Xeran wyjaśnił. - Są one nieszkodliwe same w sobie. Jednakże nie są bezużyteczne. Działają jak potężne urządzenie kamuflujące. Organiczne formy życia nie potrafią widzieć przez mgłę stworzoną przez zarodniki. Droidy też nie – zarodniki bowiem odbijają światło zbyt wysoko na spektrum, by droidy mogły je zarejestrować swoimi receptorami optycznymi. Wat Tambor wykorzystał zarodniki do własnych celów, by zakamuflować swoje pojazdy. Lecz gdy niesie je wiatr, działają jak chemiczna forma komunikacji pomiędzy poszczególnymi drzewami.

Usta Xerana wykrzywiły się w uśmiech, ukazując ostre jak żyletki zęby. Uniósł małą sakiewkę, otworzył ją i wziął między palce szczyptę czegoś, co wyglądało jak lawendowy pył.

- Proszę - powiedział, wskazując na rękę Boby. - Weź to. Włóż go do oczu, pod hełm. Umożliwi ci widzenie przez mgłę.

Boba wyciągnął dłoń. Xeran upuścił w nią niewielką ilość lawendowego pyłu. Boba przyjrzał się mu, następnie Xamsterowi.

Czy mógł mu zaufać?

Boba się zawahał. Nauczył się w ciągu ostatnich kilku lat, by ufać swoim instynktom – jednym z najpotężniejszych sojuszników każdego łowcy nagród.

A jego instynkty mówiły mu teraz, że Xeran mówił prawdę.

- Dzięki - Boba powiedział. Odwrócił się, podnosząc hełm. Odchylił głowę do tyłu i wsypał sobie kilka drobinek pyłu do oczu. Poczuł delikatne szczypanie, lecz nic więcej. Zamrugał, opuścił hełm i odwrócił się z powrotem do Xerana.

Xamster przytaknął z aprobatą.

- Efekt nie jest trwały. Lecz może ci pomóc. A tutaj-

Wyciągnął małą purpurową kulkę.

- Weź ją ze sobą. Malubi cię już zapamiętał jako kogoś, kto nie chce nas skrzywdzić. Inne drzewa malwilowe cię poznają. Nie skrzywdzą cię. Lecz jeśli będziesz potrzebował kamuflażu, zmiażdż tą kulkę. Zostaną wtedy wypuszczone zarodniki.

Boba wziął globulę.

- Dziękuję - powiedział. Ostrożnie wsunął ją do jednej z ładownic.

- Jeszcze jedno ci powiem - Xeran dodał. - Jest grzyb, którego zwiemy Xabar. Ma wiele małych macek. Jest ciemnofioletowego koloru, z jaskrawymi czerwonymi końcówkami. Wat Tambor wziął również tego grzyba i zrobił z niego broń. Jego macki wypuszczają toksynę. Toksyna ta powoduje sparaliżowanie. Nie trwała, na szczęście. Lecz bardzo efektywną.

Każdy, kto wejdzie z nią w kontakt, zostaje unieruchomiony. Totalnie. Świadomość pozostaje, lecz nie zdolność poruszania się.

- Dziękuję - Boba powiedział. - Zapamiętam. - Skądś pod nimi dobiegł ogień laserowy.

- Muszę już iść - Boba powiedział. Spojrzał na dół na pole bitwy, które oddzielało go od żywej cytadeli Wata Tambora. Następnie obrócił się do Xerana. - Wiele ci zawdzięczam, Xeran. Jeszcze raz dziękuję.

Xamster przytaknął z powagą. Jego zielone oczy się zwały i się uśmiechnął.

- Ty mi nie musisz dziękować. Gdy pokonasz naszego wspólnego wroga, zrób to w pamięci mojego malvila. To mi wystarczy. Oraz za Malubi'ego - dodał.

Boba się uśmiechnął. Gdy to zrobił, jedna z gałęzi drzewa malwilowego owinęła się wokół niego. Bardzo ostrożnie podniosła Bobę, następnie powoli opuściła go na ziemię.

- Nie zapomnę! - Boba krzyknął Xeranowi, gdy ten do niego machał. - Za Malubi'ego!

- Za Malubi'ego! - Xeran powtórzył.

Podnosząc jedną łapę na pożegnanie, istota wślizgnęła się z powrotem w fioletowe cienie swojego drzewa malwilowego.

ROZDZIAŁ 12

Sto metrów nad ziemią, w fioletowej koronie Malubiego, Xagobah wydawała się przez krótką chwilę cichym, wręcz spokojnym miejscem.

Ten spokój zniknął, gdy tylko stopy Boby dotknęły podłoża.

- Kapitanie! Intruz w twoim sektorze! - odezwał się głos z odległości kilku metrów.

Głos jego ojca.

Przez chwilę Boba zamarł. Po chwili zobaczył wybuch, wystarczająco blisko, że poczuł ciepło od błękitnych płomieni nawet przez zbroję.

- Wow!

Z zagłuszonym wrzaskiem, Boba zanurkował w krzaki.

Głos się znowu odezwał.

- Kapitanie! Czy trafiliśmy?

Boba przykucnął za zwisającą siecią grzyba. Wyjrzał i zobaczył postać wchodzącą na polanę.

Postać jego ojca, przyodziana w błyszczącą, szaro-białą zbroję oraz hełm armii Republiki. Żołnierz-klon.

- Kapitanie, słyszysz mnie?

Boba usiłował nie oddychać, gdy żołnierz szedł w jego stronę pewnymi, ciężkimi krokami, dopóki był dosłownie na wyciągnięcie ręki od miejsca, w którym Boba się chował. Był wystarczająco blisko, że Boba dobrze widział tył jego hełmu.

Boba widział już klony wielokrotnie w przeszłości, rzecz jasna. Pamiętał, jak były hodowane po tysiące na Kamino. Spotkał młodego klona, 9779, na Aargau. Klony były rozpoznawane głównie po swoich desygnacjach numerycznych.

Czy to mógł być 9779, już całkowicie wyrosnięty?

Ta myśl sprawiła, że Bobie zrobiło się trochę niedobrze. Wyparł ją z głowy i przyglądał się żołnierzowi z cieni. Jak wszystkie klony, kapitan miał budowę jego ojca. Miał również siłę Jango. Boba widział to z łatwością, z jaką nosił swoją broń, karabin DC-15, którego samo podniesienie sprawiłoby, że Bobę bolałaby ręka.

- Sprawdzam - klon odpowiedział do komunikatora. - Nie widzę śladu intruza. Wstrzymać ogień.

Jeszcze raz rozejrzał się po polanie. Następnie uniósł karabin do góry, obrócił się i odszedł.

- Uff! - Boba odetchnął z ulgą. Było blisko!

Począł, aż żołnierz-klon był tylko bladym punktem wśród grzybów-drzew. Następnie zaczął go śledzić. Trzymał się cieni, poruszając się szybko i ukradkiem, niczym polujący cratsch.

Co jakiś czas chuda kończyła jakiegoś grzyba sięgała, by go posmyrać po hełmie lub dotknąć jego ręki. Gdy to się działo, Boba się zatrzymywał, wstrzymując oddech.

Lecz wydawało się, że zarodniki Malubi'ego zdołały ostrzec pozostałe grzyby przed przybyciem Boby. Ich macki tylko go dotykały, po czym się wycofywały. Czasem pojawiała się nad nim mała purpurowa chmura. Następnie widywał inne grzyby-drzewa przed nim kołyszące się delikatnie.

Dzięki, Xeran, Boba pomyślał. I Malubi.

Poklepał pień bardzo młodego drzewa malvilowego, po czym się zatrzymał.

Przed nim, las grzybów się nagle kończył. Za nim, ziemia wydawała się spalona. Gdy spojrział do góry, zobaczył unoszące się w powietrzu cienie republikańskich statków, niczym czarne chmury w fioletowej mgłę. Gdy popatrzył na dół, widział czarne koła, gdzie pojazdy transportowe wylądowały i odleciały. W innych miejscach były dziury i małe kratery pozostawione przez eksplodujące pociski. Dymiące fragmenty roślin były porzucane tu i tam. Oraz inne rzeczy też. Rzeczy, których Boba wolałby nie widzieć.

Upewnił się, że fioletowa globulka jest wciąż w jego kieszeni. Zacisnął rękę wokół blastera.

Czekał, próbując wymyślić, co zrobić. Nie było sensu w wybieganiu na środek bitwy. Dziewięć dziesiątych sukcesu łowcy nagród to dobre planowanie, Jango mu zawsze mawiał.

- Więc jedyne, czego potrzebuję, to planu - Boba powiedział.

Zmrużył oczy, próbując dostrzec coś przez mgłę dymu i zarodników. Miał stąd lepszy widok na cytadelę Wata Tambora.

Z pewnością nie wyglądała ona lepiej. Była dobrze strzeżona, po pierwsze. Oprócz gigantycznych czarnych szpiców wystających z niej, wokół fortecy przechadzały się droidy, patrolując jej okolice.

Droidy bojowe, Boba pomyślał. Zliczył ich trzydzieści – nie wystarczająco, by walczyć w bitwie, lecz wystarczająco dużo, by nie dopuścić intruzów.

Były też inne droidy. Przypominające kraby droidy obronne były zgromadzone wokół trójkątnego otworu, które wydawało się być wejściem do Mazariyana. Widział liczne przygarbione zmodyfikowane super droidy bojowe oraz statyczne wieżyczki obronne.

Jakby tego było mało, nad wierzchołkiem fortecy Wata Tambora unosiła się wielka, ciemna, bezkształtna masa. Przypominała fioletowo-czarną chmurę burzową lub ogromną amebę, unoszącą się nad polem bitwy.

- Co to? - Boba poprawił ostrość w hełmie, po czym zamrugnął, czując łagodne szczypanie za oczami, gdy kształt nad nim zdobył ostrzejsze kontury.

Zarodniki Xerana działały. Nagle widział wyraźnie. A zobaczył, że wielki kształt nie był chmurą.

Była to flota separatystycznych myśliwców, ukryta za mgłą. Na oczach Boby jeden z myśliwców ostrzelał pozycje Republiki. Z okopów wybuchł ogień.

Trafienie!

Boba z trudem utrzymał równowagę, gdyż wybuch zatrzęsł ziemię niczym trzęsienie ziemi. Znowu podniósł wzrok i tym razem zobaczył coś innego – ciemniejszą, zniekształconą sylwetkę wiszącą dokładnie nad wierzchołkiem cytadeli. Wokół niej kręciły się hordy droidów, ładując ją. Z szokiem, Boba nagle zdał sobie sprawę, czym był ogromny obiekt.

Taranem.

Boba pokręcił głową w niedowierzaniu. Zrobotyzowane tarany były produkowane w najbardziej niesławnych krańcach Zewnętrznych Rubieży. Były projektowane i wyposażane przez inżynierów-kryminalistów.

Lecz czyż nie tym właśnie był Wat Tambor?

Taki Taran nie miał organicznej załogi. Wykorzystywał kadłub opuszczonego – prawdopodobnie skradzionego – okrętu wojennego, z wystarczającą siłą ognia, by zniszczyć ogromny statek kosmiczny w pojedynczej eksplozji. Cały pojazd nie był niczym więcej, niż gigantyczną bombą, pilotowaną przez drona kamikaze, który nie miał żadnego innego celu, niż zniszczenie.

W tym przypadku zniszczenie Republiki.

Boba odchylił głowę do tyłu. Próbował zobaczyć coś przez fioletową mgłę atmosfery Xagobah.

Gdzieś tam w górze był republikański statek szturmowy. Choć Boba nie darzył Republiki miłością, w chwili obecnej mieli wspólnego wroga.

Wata Tambora.

A ten taran należał do Wata Tambora.

Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem, Jango powiedział kiedyś swojemu synowi. Boba był wówczas za młody, by rozumieć te słowa. Brzmiały jak zagadka.

Zagadka, którą właśnie rozwikłał.

Widział żołnierzy-klonów wewnątrz grzybowego lasu. Generał Jedi Glynn-Beti była gdzieś tam, w roli dowódcy. Przypuszczalnie byli też inni Jedi, walcząc jako część sił Republiki.

Lecz nie widział żadnych form życia, ludzkich albo nie, strzegących Mazariyana. Żadnych Xamsterów; żadnych ludzi. Nawet żadnych najemników z bezprawnych miejsc pokroju Carratos czy Ord Mantel!

Tylko droidy.

Ma zamiar rozbić ten taran o republikański statek szturmowy! Boba wciągnął powietrze w ekscytacji. Wat Tambor myśli, że to zakończy szturm – i ma rację!

Boba rozejrzał się ukradkiem, myśląc szybko.

Jeśli ogromna latająca bomba Wata Tambora uderzy w statek szturmowy, Republika pozbędzie się wszelkich szans na schwytanie niebezpiecznego Separatysty.

Również szanse Boby na uprowadzenie Wata Tambora legną w gruzach.

Co znaczyło, że zniszczy to przyszłość Boby jako ulubionego łowcy nagród Jabby!

Nie mogę do tego dopuścić! Boba pomyślał.

Lecz co, jeśli taran mógłby być jakoś zaprogramowany, by zniszczyć cytadelę Wata Tambora – a razem z nią, samego Wata?

Dwóch może grać w tę grę, Boba pomyślał. Przykucnął w cieniach na skraju grzybiastego lasu. Popatrzył na Mazariyana.

Dwóch może grać – lecz tylko jeden może wygrać.

A tym jednym będę ja!

ROZDZIAŁ 13

Miał już plan. Jedyne, czego potrzebował, to sposobu na wdrożenie go.

Plecak odrzutowy się nie nadaje, pomyślał z żalem. Nie jest wystarczająco silny ani szybki, by mógł się zmierzyć z taranem. Muszę spróbować znaleźć pojazd... na przykład śmigacz... Boba obrzucił wzrokiem okolice fortecy Wata Tambora. Wiedział, że Mazariyan był dobrze strzeżony przez droidy.

Lecz Wat Tambor nie był droidem. Z pewnością też nie wszyscy jego strażnicy oraz wspólnicy byli droidami. Musieli użyć jakiegoś środka transportu, by się tutaj dostać....

- Taa - Boba wyszeptał - A właśnie tego potrzebuję.

Zaczął biec wzdłuż brzegu lasu. Nie spuszczał wzroku z Mazariyana, lecz nie widział niczego, co mógłby ukraść – to znaczy, użyć.

Lecz w miarę, jak zbliżał się coraz bardziej do tyłu fortecy, robiło się trochę lepiej. Republika zdawała się skoncentrować swoje siły koło wejścia do cytadeli. Na tyłach nie było okopów. Były tutaj skrzynie zapasów oraz kupy powykręcane metalu i plastali. Widział droidy demolujące i niszczące oraz podnośnik układający duże pudła obok jednego z wejść. Pojedynczy dron strażniczy zdawał się go monitorować. Lecz był to starszy model i wydawał się być zajęty skanowaniem okolicy bliższej głównemu wejściu do cytadeli.

To musi być brama towarowa, Boba pomyślał. Zawahał się i popatrzył za śladami ukrytych sił Republiki, lecz nic nie zobaczył. Mogłoby mu się udać przedostać się niezauważonym koło drona i wejść do środka przez wejście towarowe.

Mógłbym spróbować. Lecz co bym zrobił potem?

Nie wybiegał jeszcze tak bardzo w przyszłość.

Później, pomyślał sobie. Szybko się obrócił i kontynuował obchodzenie fortecy, szukając.

I wtem go zauważył – prawie że na niego nadepnął! Zakamuflowany pod podartymi fragmentami grzyba oraz malwilowymi kończynami, był tak zardzewiały i poobijany, że trudno go było dostrzec.

Śmig.

Boba rozejrzał się ukradkiem po grzybowym lesie. Lecz jeśli byli w pobliżu żołnierze-klony, byli jeszcze bardziej ukryci, niż on: nie widział nikogo. Popatrzył do góry.

Owszem, taran wciąż tam był, niczym wulkaniczna chmura unosząca się nad Mazariyanem. Ładujące go droidy były wystarczająco blisko, by je widzieć gołym okiem przez mgłę. Boba popatrzył z powrotem na droidy pracownicze na ziemi. Dron strażniczy zniknął – pewnie był po drugiej stronie fortecy.

A te wszystkie inne droidy były jednostkami robotniczymi. Żaden z nich nie byłby zaprogramowany do inwigilacji ani monitoringu.

- Teraz albo nigdy - Boba mruknął. Zatrzymał się obok śmigła, rzucając wzrokiem przez ramię. Następnie strząsnął z niego zeschnięte kawałki grzyba i wskoczył na pojazd. - A ja mówię - teraz.

Przez krótką chwilę miał wrażenie, że się nie włączy. Po chwili jednak coś prysnęło i zaszumiało. W końcu, z niskim szumem ruszył do przodu.

Ktoś go zmodyfikował tak, że każdy dźwięk był przytłumiony, Boba zauważył z aprobatą. Pochylił się nad kontrolami i pociągnął przepustnicę. Śmig wyleciał do góry przez drzewa malwilowe. Nie tak szybko, jak chciałby tego Boba – ten, kto wykonał modyfikacje, ewidentnie preferował skradanie się od szybkości.

Może wiedzą o czymś, o czym ja nie wiem, pomyślał, po czym się rozejrzał. Droidy robotnicze wciąż pracowały bezsensownie obok wejścia towarowego. Boba dostroił hełm, zwiększając skupienie, dopóki nie mógł dostrzec przodu cytadeli. Również nic nowego. Ponad wierzchołkiem budowli taran unosił się w miejscu. Boba zakręcił na śmiglu, następnie dodał gazu. Plechy grzybów uderzały mu w hełm w miarę jak się unosił coraz wyżej i wyżej. Gdy był tuż pod koronami drzew, skręcił i począł lecieć ostrożnym łukiem.

Mogę równie dobrze sam się zająć rekonesansem, pomyślał. Ten żołnierz-klon musiał się skądś zjawić. Lecz skąd?

Po minucie miał już odpowiedź. Niezbyt daleko od cytadeli Wata Tambora, coś się poruszyło.

Coś dużego – coś wielkiego!

Republikańska maszyna krocząca AT-TE!

- Wow, poważnie do tego podchodzą - Boba mruknął. Ten AT-TE był z pewnością załadowany jeszcze większą ilością żołnierzy-klonów – dziesiątkami ich – już nie wspominając o potężnej sile ognia.

Nie było oczywiście mowy, by mógł sterować AT-TE. Lecz tam, skąd przybywali żołnierze-klony, byłby Jedi, by nimi dowodzić. Mieliby swoje własne pojazdy – kanonierki, myśliwce, może nawet śmigacze.

Jeślibym mógł dorwać śmigacz, może mogłoby mi się udać zwać ten taran z powrotem w kierunku Mazariyana. Taran nie jest zbyt szybki – lecz w śmigaczu mógłbym! Następnie mógłbym wrócić do Slave'a I i odlecieć stąd – z powrotem do Jabby po moją nagrodę!

Zbliżył się do AT-TE, uważając, by nie wchodzić mu w pole widzenia. Obok AT-TE było kilka mniejszych pojazdów, a w oddali więcej maszyn kroczących.

Nieźle, pomyślał z ponurą satysfakcją.

Może i Republika nie ma aż tak przerabane, koniec końców. Dostroił ognisko skupienia w hełmie dopóki nie był w stanie dostrzec jeszcze więcej cienistych kształtów daleko za nadchodzącymi AT-TE. Kanonierki, załadowane jeszcze większą ilością żołnierzy i maszyn kroczących.

Oraz, owszem, były też śmigacze – i myśliwiec.

- To pewnie Glynn-Beti - Boba powiedział. Spochmurniał, lecz zniżył śmig, by móc się lepiej przyjrzeć. Gdy to robił, coś przeleciało obok niego.

Kolejny śmig!

- Hmm? - Przez chwilę Boba był zbyt zdezorientowany, by cokolwiek zrobić. Następnie chwycił za blaster.

Lecz ktokolwiek pilotował śmig nie zwracał uwagi na Bobę. Leciał w stronę cytadeli.

Lecz nie tylko cytadeli. Obserwując z niedowierzaniem, zdał sobie sprawę, że nie był jedynym, który wpadł na plan.

Śmig leciał do góry – prosto na taran Wata Tambora!

ROZDZIAŁ 14

- Wielkie umysły myślą tak samo! - Ygabba mawiała Bobie w żartach.

Lecz w tym momencie, patrząc na drugiego śmiga pędzącego w stronę taranu, Boba pomyślał, że może ten pomysł nie był jednak najlepszy. Śmig wyglądał jak bączek atakujący piaskoczołg.

- Jest stracony - Boba powiedział.

Tylko przez krótką chwilę zdołał ujrzeć osobę pilotującą pojazd. Lecz tyle mu wystarczyło, by go poznać. Ulu Ulix!

Boba poznał młodą istotę na Candaserrim. Oczywiście Ulu nie znał prawdziwego imienia Boby – Boba powiedział, że nazywa się Teff i że był sierotą z Raxus Prime. Podejrzewał, że Ulu był w podobnym wieku, co on, choć miał rogi i trzy oczy. Byli do siebie przyjaźnie nastawieni – cóż, tak przyjaźnie, jak Boba mógł być względem kogokolwiek na Candaserrim.

Teraz by mu już nie poznał, Boba pomyślał z dumą. Nie w mandaloriańskiej zbroi i hełmie.

Patrząc, jak śmig Ulu zbliża się do taranu, przypomniał sobie kolejną rzecz o trójkiej istocie.

Ulu Ulix był Padawanem, uczniem Jedi – a jego mistrzem była Glynn-Beti!

Boba szybko powrócił wzrokiem do miejsca, gdzie AT-TE przedzierało się przez las. Nad nim leciał myśliwiec, wysoko ponad koronami fioletowych drzew malwilowych. Jeśli w tym myśliwcu była Glynn-Beti, musiała podejrzewać, że taran był skierowany na republikański statek szturmowy. Lecz czy wiedziała, że jej Padawan leciał w stronę taranu?

Boba zastanawiał się, czy Glynn-Beti była szalona – czy może Ulu był?

Nie zastanawiał się zbyt długo.

KA-BUM!

Kilka metrów od śmigła Boby eksplodowało drzewo malwilowe. Nastąpił kolejny błysk niebieskiego ognia. Boba został obryzganym fioletową mazią.

Otarł szczątki grzyba z hełmu, pociągnął za przepustnicę i odleciał od lasu.

Potrzebował lepszego widoku na to, co się działo.

To, co zobaczył, nie było dobre, w każdym razie na pewno nie dla Padawana. Droidy strażnicze zauważyły Ulu Ulixa!

Śmigł Boby się zatrząsał, gdy kolejny wybuch rozsadził ogromnego grzyba nieopodal. BLAM!

Grzyb eksplodował. Płonące fragmenty grzyba poleciały wszędzie wokół, podpalając inne drzewa. Droidy otworzyły ogień! Śmigł Boby wystrzelił pionowo do góry, na bezpieczną odległość. Był już blisko cytadeli – prawdopodobnie za blisko – lecz droidy w niego nie strzelały.

W każdym razie jeszcze nie. Boba zmarszczył brwi. Za kim – za czym – oni tu byli? Zaryzykował zlecenie niżej i bliżej fortecy. Miał stąd dobry widok na droidy u dołu, ogień laserowy przelatujący przez powietrze w miarę, jak republikańscy żołnierze rozpoczęli kontratak.

Lecz droidy nie strzelały w żołnierzy-klonów.

Ich celem był Ulu Ulix.

Boba skrzyknął gwałtownie, gdy strzał przedarł się przez powietrze zaledwie metry od niego. Gdy spojrzął do tyłu, zobaczył, jak taran wykonuje nagły wystrzał w górę.

- Wypuścili taran! - krzyknął w tej samej chwili, co drugi śmigł nagle wystrzelił w stronę masywnego pojazdu. Boba czekał, aż wiązka ognia laserowego z taranu zniszczy śmigł.

Lecz taran nie zbacział z kursu. Zamiast tego pędził w górę, nie zważając na ścigającego go Ulu Ulixa.

Lecz dlaczego miałyby to dziwić Bobę? Taran był pilotowany przez drona. Nic nie mogło sprawić, żeby zboczył z kursu. Próba zwabienia go bądź zaatakowania była ewidentnie bardzo, bardzo złym pomysłem.

To mogłem być ja, Boba pomyślał.

Patrzył ponuro, jak śmigł Ulu opadł i zachwiał się. Istota usiłowała unikać ognia zaporowego od spodu. Lecz jego śmigł zdawał się nie mieć więcej mocy, niż ten Boby.

- I tak, mógłby nim lepiej latać. - Boba powiedział.

Trzymał się mocno swojego pojazdu, zbliżając się do czarnego wierzchołka cytadeli, po czym rzucił okiem z powrotem do lasu.

Konwój AT-TE zatrzymał się na samym skraju polany. Śmigacze zniknęły, razem z myśliwcem. Boba zacisnął szczękę.

Glynn-Beti nawet nie obchodzi to, że jej Padawan jest pod ostrzałem. Jest zbyt zmartwiona tym, że jej własna próba ataku na cytadelę Wata Tambora zostanie zakłócona!

Typowa arogancja Jedi, Boba pomyślał gniewnie. Popatrzył na miejsce, gdzie śmigł Ulu Ulixa huśtał się wokół wierzchołka Mazariyana. Z nagłym BUM, pojazd trójokiej istoty został pochłonięty w czarnym dymie. Poleciały z niego iskry. Rozbrzmiał przerażony krzyk.

Boba patrzył w przerażeniu, jak mała postać spadała w powietrzu – prosto na szpic Mazariyana!

ROZDZIAŁ 15

Boba nie miał czasu, by się zastanawiać. Szarpnął za przepustnicę. Jednocześnie otworzył zawór, by zmaksymalizować przepływ paliwa. Z przytłumionym rykiem, śmig wystrzelił do przodu. Ogień laserowy i eksplozje zatrzęsły powietrzem za Bobą. Pod nim czekały szpice.

- Mistrzu... pomocy...!

Ponad hałasem ognia laserowego można było usłyszeć przerażony krzyk. Boba wygiął się do przodu tak daleko, jak tylko mógł, wyciągając ręce przed siebie. Jego śmig pędził w kierunku błyszczącego czarnego szczytu Mazariyana. Jeden wielki, zakrzywiony szpic wysunął się gwałtownie do góry. Ustawił się tak, by nadzieć mały kształt spadający niczym kamień.

Śmig Boby opadł w tej samej chwili, co łowca nagród wyciągnął ręce przed siebie. Z jękiem, coś ciężkiego spadło na przód pojazdu. Boba skręcił gwałtownie, oddalając się od Mazariyana.

- Dz-dzięki! - Ulu Ulix zamrugał. Trzymał się zbiornika z paliwem. Jego trzy duże oczy patrzyły wdzięcznie na Bobę. - Myślałem, że już po mnie!

- Jeszcze się nie ciesz! - Boba krzyknął. - Trzymaj głowę nisko-
BLAM!

Ogień laserowy przedarł się obok nich. Boba wyciągnął blaster zza pasa. Obrócił się i oddał kilka strzałów w generalnym kierunku droidów strażniczych. Następnie spojrzął w dół. Droidy bojowe były wszędzie. Niektóre wciąż strzelały w stronę Boby. Lecz większość miała większe cele przed sobą.

Z ogłuszającym hukiem, pierwszy AT-TE pojawił się na skraju polany. Otworzyła się jego ładownia i wysunął szeroki właz. Ponad tuzin żołnierzy-klonów wybiegł ze środka, strzelając z blasterów. Nastąpił świst i ryk droidów bojowych pędzących z ukrytych bram w cytadeli. Maszerowały w formacji w stronę wojska Republiki. Pociski czystej energii poleciały w stronę klonów. Forteca Wata Tambora świeciła się niczym słońce, gdy ogień laserowy przelatował w górę i w dół po jej ścianach.

Trzy oczy Ulu Ulixa się poszerzyły na widok chaosu pod spodem.

- Wow - odetchnął.

Rozpoczął się atak na Mazariyana.

- Nie podnoś głowy! - Boba rozkazał. Gwałtownie skręcił w lewo.

Oślepiający błysk energii eksplodował za nimi. Boba zmniejszył ciąg silnika. Śmig opadł w dół, po czym znów wystrzelił do góry.

- Musimy się stąd zmywać, szybko! - wrzasnął.

- Tam! - Ulu powiedział. Wskazał miejsce, gdzie czekał kolejny AT-TE. Był otoczony oddziałem ciężko uzbrojonych klonów. - Generał Glynn-Beti!

Boba zmrużył oczy.

- Gdzie?

- Stoi koło transportu – widzisz? Powinna być w swoim śmigaczu, obserwując pole bitwy. Pewnie się o mnie martwiła. Wygląda na wściekłą.

Ulu Ulix przełknął ślinę. Boba spojrzął na niego. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu pod hełmem.

- Wściekła?

- No... szturm miał się już zacząć, i tak, ale...

Trójka istota popatrzyła na miejsce, gdzie leżał jej śmig. Był on teraz niczym więcej, jak dymiącym wrakiem. Otoczony był przez droidy bojowe, zajęte strzelaniem w stronę żołnierzy Republiki.

- Lecz może zaczął się nieco wcześniej niż planowano? - Boba dokończył zdanie za Ulu.

Stworzenie przytaknęło.

- Taa. Coś jak tak.

Boba podleciał do miejsca, gdzie stała Glynn-Beti. Spojrzał na Ulu Ulixa. To dziwne, że go nie poznał pod hełmem i zbroją. Dziwne, ale dobre.

Byłem wtedy jeszcze dzieckiem, Boba pomyślał z dumą. Lecz teraz jestem prawdziwym łowcą nagród.

Śmig podleciał na brzeg lasu. Strażnicy stojący przy AT-TE stanęli na baczność. Popatrzyli na Bobę. Unieśli broń. Byli gotowi otworzyć ogień.

- Zawołaj Glynn-Beti! - Boba krzyknął do Ulu-Ulixa. - Inaczej już po nas!

- Mistrzu! - Ulu krzyknął. - Mistrzu, tutaj!

Mistrzynie Glynn-Beti podniosła wzrok. Była mała i szczupła z charakterystyczną kocią twarzą ukoronowaną falistymi czerwonymi włosami. Nawet z tej odległości Boba czuł moc, jaka w niej drzemała.

Moc Jedi.

ROZDZIAŁ 16

- Ulu Ulix! - rozbrzmiał ostry głos Jedi. Brzmiała, jakby była zła, lecz równocześnie odczuwała ulgę. Obróciła się do klonów – strażników. - Wstrzymajcie ogień!

Boba zniżył śmig do kilku metrów od AT-TE. Wylądował z lekkim wstrząsem. Ulu zeszedł na ziemię. Wyglądał swoją szatę Padawana. Następnie spojrzął na Bobę.

- Nie wiem, jak ci mogę podziękować - powiedziała rogata istota. - Nie wiem nawet, jak się nazywasz. Lecz jest w tobie coś znajomego....

Ulu zmarszczył brwi delikatnie, zastanawiając się. Boba nic nie mówił. Czuł się o niebo starszy od Ulu. O niebo starszy niż wtedy, kiedy się po raz pierwszy poznali.

Na szczęście nie musiał nic mówić, ponieważ Generał Glynn-Beti szła już w ich stronę. Wyglądała tak, jakby miała wiele do powiedzenia.

- Ulu! Co ty sobie myślałeś? - wbiła wzrok w młodego Padawana. Ulu Ulix spuścił wzrok, zażenowany. - Zaryzykowałeś powodzenie całej tej misji!

- Naprawdę mi przykro, Mistrzu - powiedział Ulu. - Jest mi wstyd. Lecz chciałem tylko pomóc.

- Pomóc? - powtórzyła Glynn-Beti. Następnie spojrzała na Bobę, wciąż usadowionego na śmigie. - Ten obcy jest tym, który pomógł! - Jedi się lekko ukloniła. - Jestem ci dłużna, obcy. Masz moją wdzięczność za uratowanie życia tego najgłupszego z Padawanów.

Boba przytaknął.

- Nie ma za co. - Był niekomfortowo świadomy przeszywającego go wzroku Glynn-Beti. Lecz chwilę później odwróciła od niego uwagę.

- Żołnierzu! - rozkazała. - Możecie wszyscy wrócić do warty! A co do ciebie... - obróciła się do Ulu Ulixa. - Będziesz przy moim boku przez resztę tej akcji. Chyba, że wolisz poczekać na pokładzie transportowca?

Ulu Ulix potrząsnął głową.

- Nie, Mistrzu! Będę posłuszny tym razem.

- To dobrze. - Glynn-Beti poczęła odchodzić. Lecz wykonała tylko kilka kroków, nim się zatrzymała. Odwróciła się i wbiła wzrok w Bobę.

Oo, pomyślał sobie.

- Jakie jest twoje stanowisko w tej bitwie, obcy? - spytała. Jej głos był spokojny, lecz była w nim nuta groźby. - Nie jesteś częścią mojego batalionu. A ewidentnie nie pracujesz dla naszego wroga. Nie przybyłeś stamtąd... - wskazała głową cytadelę Mazariyan. Gdy powróci-

ła wzrokiem do Boby, był on przeszywający. - Wysłaliśmy do środka kilku z naszych najlepszych żołnierzy – żołnierzy ARC. Rzadko nas zawodzą. Ani jeden stamtąd nie powrócił. A ty?

Boba się zawahał. Jedi mogła być w stanie poznać kłamstwo. Jeśliby to zrobiła, mogłaby go wziąć jako więźnia, nie zważając na to, że uratował jej Padawana. W najgorszym wypadku mógłby tkwić w republikańskiej celi. W najlepszym wypadku mogłaby go wysłać poza planetę, z powrotem na Tatooine – gdzie musiałby się zmierzyć ze wściekłością Jabby Hutta.

Cela więzienna mogłaby jednak być lepszą alternatywą.

Boba wbił wzrok w Glynn-Beti. Bardzo się cieszył, że nie była w stanie dostrzec jego twarzy pod hełmem.

- Nie. Jestem po stronie Xamsterów - powiedział.

Jedi zdawała się trawić tą informację. W końcu przytaknęła.

- Dobrze. Nie wezmę cię do niewoli. Mieszkańcy Xagobah potrzebują każdej pomocy, jaką mogą dostać. - wskazała Ulu Ulixowi, by do niej dołączył. - Chodź. Mamy wiele do zrobienia.

- Ale Mistrzu... - Ulu się zatrzymał. Popatrzył do góry na ciemny kształt pośród fioletowej mgły atmosfery Xagobah. - Co z taranem?

- Doskonale sobie zdajemy sprawę z taranu, Ulu. Ktoś bardziej doświadczony niż ty – i mądrzejszy – się nim zajmie.

Au! Boba pomyślał. Ciekawe, kto to taki? Patrzył, jak Jedi i jej Padawan odchodzili w stronę AT-TE.

Zanim wsiedli do maszyny, Glynn-Beti się odwróciła i krzyknęła z powrotem do Boby:

- Tak. Ktoś inny się zajmie taranem. Ty, obcy, możesz zaatakować właśnie wtedy. Wspomnij moje słowa! - Następnie Mistrzynie Jedi zniknęła z pola widzenia.

Boba szybko włączył silnik śmigła, który wydał stłumiony ryk i uniósł się w powietrze.

Boba podleciał z powrotem do miejsca, gdzie trwał szturm. Powietrze błyskało na niebiesko i czarno i srebrno od ognia laserowego. Wszędzie wokół fortecy żołnierze-klony atakowali armię droidów Wata Tambora. O co chodziło Jedi? Zastanawiał się.

Wyglądało na to, że Republika jest w tarapatkach.

Separatyści kontratakowali!

- To nie idzie dobrze - Boba mruknął. - Przynajmniej nie dla mnie!

Boba wcześniej myślał, że cytadela Wata Tambora była dobrze strzeżona. Teraz zdał sobie sprawę, że sprytny Separatysta celowo ukrył pełną moc swoich sił. Nagle wielkie wrota Mazariyana się otworzyły. Rozbrzmiał okropny huk i setki – może tysiące – droidów zaczęły wychodzić z fortecy. Droidy-pająki, super droidy bojowe, nawet śmiertelne droideki, niczym gigantyczne insekty wytaczające się ze zgniłego pnia.

Boba spojrział na dół na nie, sparaliżowany.

- Jak ja się przez to przedrę i dotrę do fortecy? Nie ma szans żebym mógł wylądować, nie zostając zauważonym i zestrzelonym!

Podleciał bliżej, by móc się lepiej przyjrzeć. Za blisko.

Ze zgrzytem, jedna z droidek się nagle zatrzymała. Zachwiała się i rozwinęła w pozycję do ataku, z czarną, bezoką głową skierowaną pionowo do góry – prosto w stronę Boby.

Otworzyła ogień.

- Aghhh!

Za późno, Boba szarpnął za kontrolę śmigła. Pocisk energii uderzył w pojazd. W tej samej chwili Boba z niego zeskoczył. Poczł ciepło ognia przez podeszwy butów. Usłyszał ogłuszający huk przeszywający powietrze jak ładunek sejsmiczny.

Lecz jedyne, co widział, to eksplozję ognia laserowego wokół niego, gdy spadał bezwładnie – w sam środek bitwy.

ROZDZIAŁ 17

- Umf! - Boba uderzył w ziemię z jękiem. Zbroja zamortyzowała upadek, lecz zajęło mu chwilę, by złapać oddech. Była tak gęsta mgła dymu i zarodników, że ledwo co widział. Zamrugał, próbując cokolwiek dojrzeć.

To, co zobaczył, nie było zbyt dobre: żołnierz-klon, zaledwie milimetry od jego twarzy!

- Nie ma szans! - Boba krzyknął. Obrócił się na plecy i zrobił wykop w tej samej chwili, gdy klon wycelował. Stopy Boby uderzyły w kolana klona. Nie był wystarczająco silny, by zwalić go z nóg. Udało mu się jednak sprawić, że stracił równowagę.

Tyle wystarczyło. Boba podskoczył na nogi, unosząc blaster. Klon górował nad nim, z twarzą schowaną za hełmem. Lecz coś w tym, jak stał, w tym, jak trzymał blaster, sprawiło, że Boba się zawahał.

Ponieważ, przez ułamek sekundy, tam nie stał żołnierz-klon.

Tam stał Jango Fett – ojciec Boby.

Boba poznał postawę Jango. Poznał jego siłę. Poznał nawet sposób, w jaki mu się nieco odchylała głowa, gdy celował z broni. Z tym, że to nie był Jango Fett. To był żołnierz-klon, który uznał, że Boba jest wrogiem.

- Nie jesteś moim ojcem! - Głos Boby był zagłuszony przez wystrzał z Westara. - Jesteś klonem!

Klon umiał świetnie celować – lecz Boba lepiej. W błysku ognia i pary, żołnierz-klon upadł.

Jeden załatwiony! Boba pomyślał. Zostało tylko parę tysięcy.

Odwrócił się i zdał sobie sprawę, że znajduje się w samym sercu bitwy, około 200 metrów od ścian cytadeli. Nad jego głową, droidy-myśliwce wylatywały z wierzchołka cytadeli. Droidy bojowe roily się wokół jej bazy, strzelając we wszystkich kierunkach. Żołnierze-klony biegały w formacji. Gdy się zbliżyły do fortecy, formacja się rozpadła. Indywidualni żołnierze pędzili w stronę droidów. Jeden klon został trafiony przez rakietę hailfire i zniknął, rozpyliwszy się na tysiąc kawałków.

Fe! Boba pomyślał. Szybko odwrócił wzrok. BARRAAAMMM!

Wspaniałe kolorowe pulsy ognia laserowego wystrzeliły z karabinów blasterowych klonów. Wszystkie były teraz skierowane na toczącego się, miotającego raketami hailfire'a.

KRRRAARRRAU!

Trafienie! Jedno z kół hailfire'a się odzepiło i ciało klona zostało wryte w ziemię przez drugie, wciąż obracające się koło. Parę chwil później eksplodowało w płomieniach.

Lecz wojsko Republiki było wciąż zagrożone. Droidy miały zdecydowaną przewagę liczebną. A gdzieś ponad nimi, taran był skierowany na ich statek szturmowy.

To było wystarczająco złe. Lecz, co było jeszcze gorsze, – droideki równo zmiatały żołnierzy-klonów. Przetaczały się po polu bitwy, bezpieczne pod polami ochronnymi. Ogień laserowy odbijał się od nich, nie czyniąc im żadnej krzywdy. Niektóre strzały nawet rykoszetowały z powrotem i kosiły tych samych klonów, którzy je wystrzeliły.

Z okrzykiem, Boba schylił się przed nagłą wiązką niebieskiej energii. Super droid bojowy kroczył w jego stronę, wycelował i-

BLAAM!

Boba oddał strzał. Górna połowa droida rozwalila się na kawałki płonącej plastali. Boba obrócił się i załatwił kolejnego droida. Upadł. Boba cofnął się do tyłu, łapiąc oddech.

Nie dam rady za nimi nadążyć, pomyślał w desperacji. Jest ich za dużo! Droidy walczą z żołnierzami-klonami. Oni zaś z droidami.

A wszyscy strzelają do mnie!

Wokół niego panował chaos. Czarny dym mieszał się z chmurami fioletowych zarodników z drzew malwilowych i gigantycznych grzybów złapanych w ogniu krzyżowym. Boba dostroił hełm, usiłując widzieć coś przez mgłę. Pył Xerana przestaje działać, pomyślał z przerażeniem. Republika zostaje miażdżona. Nie, żeby Republika go obchodziła. Lecz jeśli Wat Tambor był na tyle potężny, by ich zniszczyć, jaką szansę miał Boba?

Dużą, pomyślał sobie ponuro. Nie poddam się.

Nagły ryk sprawił, że podniósł wzrok. Przez ułamek sekundy każdy droid bojowy się zatrzymał. Tak, jakby wszystkie były kontrolowane przez jeden umysł, wszystkie równocześnie popatrzyły do góry.

- Myśliwce! - krzyknął Boba.

Falanga myśliwców przeleciała przez mgłę. Działka przeciwlotnicze Wata Tambora zaczęły do nich strzelać. Przywódca myśliwców skręcił ostro w prawo. Boba patrzył na nie z podziwem.

- Widać, że wie, co robi. - Pomyślał o Ulu Ulixie i się uśmiechnął. Następnie dostroił ognisko hełmu, kryjąc się za zniszczonym pojazdem. - Przypatrzmy się lepiej temu gościowi...

Lecz teraz już droidy bojowe również zobaczyły myśliwiec i zaczęły do niego strzelać z ziemi. Myśliwiec zanurkował. Pulsy eksplodowały w powietrzu, gdy statek pędził na dół przez zaporę ognia od działek przeciwlotniczych cytadel. Wykonał szybki jak błyskawica przelot nad głowami droidów, odcinając głowy dziesiątkom, lecąc niesamowicie nisko. Był tak blisko ziemi, że Boba widział, kto nim steruje.

- Skywalker! - Boba poczuł dreszcze ekscytacji. Widział Anakina Skywalkera z odległości na arenie na Geonosis. Padawan był już teraz nieco starszy, lecz Boba poznał jego wzrok – i umiejętności. - Naprawdę umie latać tym czymś!

Myśliwiec Anakina uniósł się raz jeszcze. Separatystyczny ogień otoczył go z wszystkich stron. Następnie, bez chwili wahania, statek znowu dał nura. Zleciał nisko, unosząc się w ostatniej chwili i zrzucając ładunek energii na cytadelę.

KARRROOOM!

Ładunek eksplodował. Płonące fragmenty durastali poleciały wszędzie. W boku cytadeli pojawiła się zionąca dziura.

- Tak! - Boba powiedział.

Też bym chciał tak umieć! Pomyślał, gdy kolejna wiązka ognia przeleciała obok niego łukiem. Boba podskoczył, następnie przebiegł przez tłum klonów. Używał teraz wszystkich umiejętności, które nabył jako łowca nagród. Oddawał strzały z blastera jeden po drugim. Droidy wybuchały pośród pomarańczowych iskier – a klony upadały na prawo i lewo w miarę, jak przedzierał się w stronę fortecy.

Tym razem Boba się wcale nie czuł źle.

ROZDZIAŁ 18

Koło przodu cytadeli Wata Tambora upadł wielki droid-pająk. Załamał się na dwóch ze swoich czterech nóg, tworząc mały chroniony obszar.

Boba skierował się w stronę tego improwizowanego schronienia. Musiał przeskoczyć nad licznymi martwymi klonami oraz dymiącym wrakiem śmiga. Lecz gdy już się znalazł w cieniu droida, był bezpieczny. Przynajmniej na krótką chwilę.

Co teraz?

Boba schylił się, dysząc, i wyrzwał na pole bitwy. Posiłki klonów stawiały opór Separatystom, lecz nie dawały rady ich odpychać. Boba wątpił, czy uda im się pokonać siły Wata Tambora. Klony były organiczne i mogły być zabite. I były zabijane w wielkich liczbach. Droidy nie mogły się regenerować, lecz zdawało się ich być nieskończenie wiele, wyłazających jeden za drugim z bramy cytadeli.

Lecz czy mogło ich rzeczywiście być nieskończenie wiele? Z pewnością nawet armia Wata Tambora miała jakiś limit?

Boba wyrzwał zza łokcia upadłego droida. Wysoko nad jego głową, myśliwiec Anakina Skywalkera przewodził siłami Jedi w ataku powietrznym. Na pierwszy cel obrali droidy-pająki.

Na oczach Boby kolejny hailfire wynurzył się z cieni drzew malwilowych. Przytoczył się do środka pola bitwy, zmiatając klony jak liście. Zatrzymał się. Uniósł wyrzutnię rakiet, celując w jeden z myśliwców. Z ogłuszającym hukiem, strumień pulsów plazmowych wleciał do góry – prosto w kierunku złotego myśliwca Anakina Skywalkera.

Jest skończony! Boba pomyślał.

Lecz Padawan miał inne plany. Właśnie kiedy zbliżały się do niego plazmowe pociski, skreślił w jedną stronę. Rakiety kontynuowały lot w górę, coraz wyżej i wyżej i wyżej, przez fioletowe niebo Xagobah.

I znalazły inny cel – taran!

- Wow! - Boba wykrzyknął.

Ogromna eksplozja czystej energii niczym piorun pojawiła się w miejscu, w którym przed chwilą był taran. Boba się spiął, czekając na opad; lecz nie nadszedł. Energia zawarta w taranie była na tyle potężna, że eksplozja nie zostawiła śladu po statku.

Punkt dla Republiki!

Boba szybko przemknął między nogami upadłego droida-pająka. Popatrzył na pole bitwy. Przez chwilę wszystko się zatrzymało w miejscu. Zarówno droidy bojowe, jak i klony podniosły wzrok, patrząc na fale energii przepływające przez fioletowo-szmaragdowo-złotą atmosferę Xagobah.

- Całkiem śliczne - Boba mruknął. Rzucił okiem na wejście do Mazariyana. Nie widział własnym oczom. Nie było tam żadnych droidów!

Boba raz jeszcze się rozejrzył. Owszem, zarówno droidy bojowe, jak i strażnicze wydawały się być dezorientowane. To była chwila, o której wspomniała Glynn-Beti!

To podmuch energii! Boba zdał sobie sprawę. Dezorientował ich centrum dowodzenia.

To była jego szansa!

Trzymając się tak nisko, jak tylko mógł, Boba wybiegł zza schronienia, jakie mu oferował droid-pająk. Pędził w stronę fortecy, oddychając ciężko. Wejście do Mazariyana stało otworem, delikatnie błyszcząc. Jeszcze tylko kilka metrów i byłby w środku. Żaden klon by tym razem nie dał rady wejść do środka; byli wciąż za daleko.

Boba się zatrzymał, trzymając rękę na blasterze. Za nim, odgłosy bitwy znów się zaczęły. Przed nim był problem: Brama cytadeli Wata Tambora była otwarta na twierdzę Separatystów – a fioletowe kończyny grzybów otaczały wejście niczym ostre jak brzytwa zęby. Rzędy szpiców wystawały groźnie, gotowe przebić każdego intruza. Przypomniał sobie, co Xeran mu powiedział i nagle Boba zrozumiał.

Wat Tambor zmodyfikował grzyby Xagobah do swoich własnych celów – w środku swojej cytadeli.

Muszę się tam dostać, Boba pomyślał desperacko. Ale jak?

Wetknął blaster za pas. Wyciągnął wibroostrze.

Nie, pomyślał i po chwili wahania odłożył je z powrotem. To tylko pogorszy sprawę.

Ręka Boby powędrowała od pasa do kieszeni. Poczł w niej coś. Coś okrągłego.

Wtem Boba sobie przypomniał.

Globulka z zarodnikami od Xerana.

Co dokładnie Xeran o niej powiedział?

„Jeśli będziesz potrzebował kamuflażu, zmiażdż ją.”

Boba wyciągnął globulkę z kieszeni. Popatrzył na purpurową kulkę, którą trzymał w dłoni.

Wyglądała niegroźnie. Xeran powiedział, że była niegroźna – w każdym razie dla Boby. Lecz powiedział również, że zarodniki działają jak chemiczne środki komunikacji. Czy mogłyby jakoś uszkodzić cytadelę?

Cóż, jest jeden sposób, żeby się przekonać!

Boba popatrzył na masywną strukturę. Następnie uniósł dłoń i, mając nadzieję, że nie popełnia błędu, zmiażdżył globulkę.

To było jak fala energii, która zniszczyła taran. Z tym, że ta była najintensywniej fioletowa i pachniała nieco przyprawami.

I była, w jakiś sposób, czująca. Boba patrzył z fascynacją, jak wielka chmura zarodników pochłonęła bazę fortecy. Chmura poruszała się jak gigantyczny pantofelek. W miarę, jak to robiła, szpice najbliższe Bobie opadły. Na oczach Boby więcej metalicznych szpicy usiłowało się wydostać na zewnątrz.

Lecz w chwili obecnej chmura zarodników była silniejsza. Szpice się skuliły. Nowe wiły się bezbrinnie, po czym jakby się roztopiły. Lecz coraz więcej się wynurzało, ostre jak igły i Boba szybko zdał sobie sprawę, że zarodniki były tylko chwilowym rozwiązaniem. A kamuflaż, który oferowały, również byłby tylko na chwilę.

Teraz! Pomyślał i odwrócił się z powrotem do wejścia. Tak, jak się spodziewał, rzędy szpiców opadły. Zwisaly jak czarne wstążki wokół wejścia. Boba rzucił się do przodu, trzymając głowę w dół. Wokół niego chmura zarodników już zaczynała się rozchodzić.

Jeśli tylko dał radę wejść do środka...

Małutkie szpice zaczęły wystawać przez wrota. Małe, ostre jak brzytwa płatki wyleciały z brzegu wejścia. Boba chwycił wibrostrze i zamachnął się na nie. Następnie, w ostatnim akcie desperacji, rzucił się do przodu. Metaliczne części grzyba uderzały go w hełm. Kulące się srebrnawe łodygi pełzały z bramy.

Za późno!

Z jękiem, stopy Boby dotknęły podłoża. Przewrócił się do przodu w ciemny purpurowy tunel, zostawiając szpice za sobą. Pod jego stopami ziemia się trzęsła jak żelatyna kallilowirusowa. Z zakrzywionych durastalowych ścian blade, srebrnawe plechy i łodygi falowały jak martwe palce. W powietrzu rozchodził się zapach palonego metalu – oraz ciche, jednostajne dudnienie, tak, jakby jakieś niewyobrażalnie wielkie serce maszyny biło gdzieś w oddali.

Boba wziął głęboki oddech. Następnie, zbierając w sobie całą odwagę, zrobił krok do przodu.

W głąb cytadeli Wata Tambora.

ROZDZIAŁ 19

Kilka minut zajęło Bobie przyzwyczajenie się do ciemności.

Nie było jednak zupełnie ciemno. Nad wszystkim wisiała złowrogo wyglądająca zielonkawa mgła. Świeące kule zdawały się być wsadzone w zakrzywione, metaliczne ściany fortecy. Gdy Boba się do jednej z nich przybliżył, zobaczył, że nie była to kula, lecz grzyb – świecący grzyb. Wat Tambor zmutował grzyby, by się zespajały z metalowymi i plastalowymi przewodami. Fosforyzujące bakterie sprawiały, że wydawały one połysk. Gdy Boba dotknął takiego grzyba, świecąca bladozielona maź przyczepiła mu się do rękawicy.

- Fe. - Boba ją szybko starł. Nie chciał się jeszcze bardziej rzucać w oczy!

Począł iść wzdłuż korytarza. Ściany były gładkie i metaliczne i zakrzywione, tak samo, jak sufit. Były okryte błoną miękkiego, fioletowego grzyba, który skrzypiał pod stopami. Lecz w ścianach były też inne rzeczy. Błyszczące płytki i miniaturowe monitory, błyszczące czerwone przewody przypominające do złudzenia naczynia krwionośne.

Geniusz Wata Tambora nie zadowolili się samą zmianą kodu genetycznego drzew malwilowych. Opracował wszelkiego rodzaju nanotechnologię. Umożliwiło mu to zespojenie inteligencji komputerowej z grzybami wewnątrz cytadeli.

Jednak monitory nie zdawały się dostrzegać obecności Boby. Zatrzymał się przed jednym, wstrzymując oddech: nic.

Fala energii spowodowana wybuchem taranu musiała im przepalić przewody, pomyślał. Lecz ten stan nie potrwa długo... powinienem się pospieszyć!

Boba poruszał się tak szybko i niepostrzeżenie, jak tylko umiał. Szukał wzrokiem droidów, lecz nie dostrzegał żadnych. Tu i tam kolejny krzywy korytarz złączał się z centralnym tunelem. Boba zaglądał do nich.

To, co widział, utwierdzało go tylko w przekonaniu, że jednak zostanie w centralnym tunelu. Ściany w tamtych korytarzach miały dziwne guzy na sobie. Guzy, które czasem się poruszały albo wymachiwały kończynami. Boba nie był pewien, czym one są.

Lecz miał pewne domysły – przypomniał sobie bowiem o ostatnich żołnierzach ARC, o jakich wspominała Glynn-Beti.

Oraz ludzie Xerana – Xamsterzy, którzy stawiali opór złym Separatystom. Boba ścisnął zęby. Pomyślał sobie o delikatnych drzewach malwilowych. Pomyślał o delikatnych Xamsterach, zmuszonych stawiać się przeciwko Watowi Tamborowi. Nienawisć, jaką Boba darzył Tambora, rosła z każdą chwilą. Nie okażę litości, myślał sobie. Ludzie Xerana nie mogą już sami się mścić. Ja ich pomszczę!

Oraz, rzecz jasna, zbiorę również nagrodę od Jabby.

Korytarz począł powoli prowadzić w górę. Skręcał cały czas, co sprawiało, że Boba miał wrażenie, jakoby wychodził do góry po gigantycznych spiralnych schodach. Minał migoczące ściany, na których monitory błyskały na żółto i zielono i czerwono. Przeszedł obok pokoju przypominającego pustą komorę ludzkiego serca, pulsującą powoli do środka i na zewnątrz. Minał okrągłe otwory, które dawały mu widok na bitwę toczącą się pod spodem.

Lecz nie mijał żadnych droidów. Nie mijał żadnych klonów. Z tego, co Boba wiedział, mógł równie dobrze być jedyną istotą, która znajdowała się w Mazariyanie.

A to sprawiało, że się denerwował.

Czyżby Wat Tambor odszedł? Czyżby jakimś cudem zdołał uciec, zanim Boba się zjawił, by go pojmać?

Boba zmarszczył brwi. Mam szczerą nadzieję, że nie.

Na zewnątrz było wystarczająco źle, z cytadelą pod atakiem. Podejrzewał, że mogłoby się stać o wiele gorzej, jeśliby został wykryty teraz przez żołnierzy Wata Tambora – albo Republiki.

Nie zatrzymywał się. Szedł dalej, do środka i do góry. Powietrze stawało się gęste i ciężkie. Boba upewnił się, że filtr w hełmie mu działał. Pomyślał o fioletowej mgłę zarodników, która okrywała tę planetę. Mógł sobie tylko wyobrażać jakie ohydne, obronne zarodniki były wytwarzane wewnątrz Mazariyana.

Od czasu do czasu nieprzyjemna myśl pojawiała się w umyśle Boby jak drzazga.

Co, jeśli go nigdy nie znajdzie? Co, jeśli nie dam rady znaleźć wyjścia?

Działał teraz wyłącznie na intuicji. Zakrzywiony korytarz zdawał się tworzyć niekończącą się spiralę wewnątrz fortecy. Od czasu do czasu się rozgałęział. Gdy to się działo, Boba instynktownie wybierał jedną drogę albo drugą.

Dotarł do kolejnego miejsca, gdzie tunel się rozdawał. Na lewo od Boby wyginał się on do góry, a jego gładkie ściany błyszczały na fioletowo. Na prawo od Boby, korytarz opadał nieco w dół. Tutaj miał on ciemniejszą poświatę, przypominającą indygo.

Ciekawe, co to znaczy? Boba pomyślał.

Przez moment się zawahał, zastanawiając się. Następnie położył rękę na blasterze i poszedł w prawo.

Miał nadzieję, że dokonał dobrego wyboru.

Do tej pory wybierał dobrze. Lecz nie tym razem.

Boba jeszcze o tym nie wiedział, lecz jego szczęście miało zamiar niedługo zniknąć niczym zarodniki malwili.

ROZDZIAŁ 20

Powietrze tam było cieplejsze oraz tak intensywnie ciemnogrnatowe, że prawie czarne. Boba nie chciał ryzykować włączania światła w tunelu. Dostroił podczerwień w hełmie, lecz to tylko zdawało się pogarszać sprawę. Poruszał się więc bardzo powoli, po omacku. Cały czas dotykał śliskich ścian. Miękka, wilgotna podłoga przysysała mu buty. Co gorsza, ciche dudnienie było tutaj głośniejsze. Czuł, jak podłoga wibruje mu pod stopami. Przed nim, ściany tunelu robiły się chropowate. Po chwili Boba odsunął rękę od ściany.

Wiotkie, blade, przypominające palce wyrostki odstawały od powierzchni ścian. Na oczach Boby wiły się jak wasy Bestińskiego morskiego anemona. Wyrostki były ciemnofioletowe. Ich końcówki były koloru karmazynowego.

- Grzyb Xabar! - Boba powiedział, przypominając sobie. Przywołał na myśl ostrzeżenie Xerana: macki wypuszczały paraliżującą truciznę.

- Kto tam chhhodzi?

Powietrze przeszył jadowity syk. Boba podniósł wzrok.

- Obcy – przedstaw się!

Boba poczuł, jak mu się żołądek kurczy – lecz nie ze strachu. Złość się w nim budowała od chwili, kiedy wszedł do fortecy.

Teraz już w nim kipiała.

Przed nim stała cienista postać. Wysoka, z zielonkawą skórą, zimnymi, głęboko osadzonymi oczami, małymi ustami. Nawet w ciemności, Boba poznał stojącą przed nim osobę.

Clawdite Nuri!

Mineły dwa lata, odkąd Boba go widział po raz ostatni. Było to na Aargau. Zmiennokształtny był wtedy mniejszy. Boba również.

Lecz teraz Boba był bez wątplenia większy – większy, silniejszy, ciężiej uzbrojony. A ten Clawdite zdradził Bobę. Boba mu zaufał. W zamian, zmiennokształtny ukradł mu to, co zostało z majątku jego ojca.

- Nuri - Boba powiedział niskim głosem. Zobaczył, jak Clawdite mruży powieki. - Jesteś mi dłużny.

- Dłużny? - Clawdite go nie poznawał. Jego wzrok wędrował niepewnie od Boby do korytarza za nim.

- Dokładnie. - Boba powiedział. Wyciągnął wibroostrze.

Rzucił się na zmiennokształtną istotę. Gdy to zrobił, postać Nuriego zdawała się roztopić. Jego szyja rosła i rosła. Ręce i nogi kurczyły mu się, dopóki nic z nich nie zostało. Głowa mu się zwężała. Długie, ostre jak brzytwa zęby wypełniły mu szczękę. Pierzaste łuski okryły mu ciało. Tam, gdzie przed chwilą był Clawdite, teraz do ataku szykował się wielki wąż arrak. Jego błyszczące zielone oczy wbiły się w Bobę. Następnie, sycząc wściekle, owiła się wokół niego.

- Nie tak szybko! - Boba krzyknął. Zmagał się z grubym, potężnym wężem. Uścisk gada zdawał się ścieśniać. Boba walczył o oddech. Wibroostrzem usiłował znaleźć jakiś słaby punkt w pancerzu węża.

I znalazł! Tuż pod szczęką arraka znajdował się kawałek skóry niechroniony przez łuski. Boba wbił tam nóż – i wtem zmiennokształtny znów zmienił swoją formę!

Na miejsce węża arrak pojawiło się miedzianego koloru dinko. Miało miazdzącą szczękę oraz ostre szpony długości ręki Boby. Wyszczrzyło zęby do Boby. Gdy Boba je kopnął, śmierdzący płyn wydostał się z dinka.

- Uff! - Boba zatoczył się do tyłu. Przez chwilę nawet mandaloriański hełm nie pomagał – smród go dusił. Wtedy do akcji wkroczyły drugie filtry. Kaszląc i trzęsąc się, Boba odpowiedział ciosem. Dinko warknęło, atakując go pojedynczym długim, szpiczastym szponem. Ręka Boby powędrowała do pasa. Chwycił blaster i właśnie go podnosił, by oddać strzał, gdy dinko nagle się rozmyło i zniknęło.

- Hej-!

Boba zamrugał, próbując znaleźć to, czym teraz stał się zmiennokształtny. Zobaczył gigantycznego chrząszcza fefze, tego samego koloru, co ściany. Przegramolił się przez toksyczne grzyby Xabar. Następnie schował się w cieniach.

- Nie! - Boba krzyknął i rzucił się za uciekającym insektem. Lecz z trudnością go widział w ciemności. W akcji desperacji, wycelował z blastera.

Nie, czekaj – Boba pokręcił głową. Tego właśnie chce! Jeśli strzelę, zwrócę na siebie uwagę wszystkich w fortecy – jeśli tutaj ktokolwiek jest!

Włożył broń z powrotem za pas. Mógł z trudnością dostrzec zarys chrząszcza uciekającego tunelem. Boba zrobił krok do tyłu, następnie wyskoczył w biegu. Lecąc, wychylił się do przodu, nie spuszczać wzroku z czarnego kształtu.

Uuumf!

Boba spadł z jękiem. Śliska podłoga pod nim się zatrzęsała. Wyciągnął rękę, próbując chwycić chrząszcza.

I chwycił!

- Nigdzie nie uciekasz!

Tym razem Boba mocno trzymał śliskie łuski. Chwilę później szamotał się z Clawditem w jego naturalnej formie.

- Nie zapominaj, że mam to - Boba syknął. Przyłożył wibroostrze do gardła Nuri'ego. Poczul, jak zmiennokształtny opada w rezygnacji.

- Lepiej. - Boba wbił wzrok w Nuri'ego. Clawdite odpowiedział mu tym samym. - A teraz, potrzebuję odpowiedzi. Szybko. Gdzie jest Wat Tambor?

Nuri wyszczrzył zęby.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Nuri przycisnął ostrze.

- Chcesz zobaczyć, jak ładnie to tnie? - wyszeptał złowrogo. - Wiem, kim jesteś, Nuri. Wiem, że pomogłeś Unii Technokratycznej wyzwolić Wata Tambora z więzienia. Teraz chcę wiedzieć – gdzie on jest?

Clawdite syknął. Złowrogie oczy mu się zaświeciły. Popatrzył na wibroostrze Boby. Następnie zaśmiał się przeraźliwie.

- Tam – obrócił głowę, wskazując korytarz prowadzący w dół. - Środkowa komnata. Jest tam.

- Czy jest dobrze strzeżony?

Nuri wbił wzrok w Bobę. Wibroostrze wciąż miał przyłożone do gardła.

- Nie - zmiennokształtny powiedział po chwili wahania. - Wysłał ostatnie droidy, by się przyłączyły do walki z Republiką. Lecz niebawem przybędzie Grievous – a z nim posiłki.

- Grievous? - Boba zmarszczył brwi. - Kto to jest?

- Generał. - Clawdite patrzył na niego z nienawiścią. Powoli, na jego twarzy pojawił się krzywy uśmiech. - Kimkolwiek jesteś, widzę, że pracujesz sam. Republika ci nie pomoże. Poznasz się z Generałem Grievousem całkiem niebawem, obcy – a wtedy on cię zniszczy!

ROZDZIAŁ 21

Boba warknął wściekle.

- To były twoje ostatnie słowa, Clawdicie!

Zaczął dociskać wibroostrze do tętnicy szyjnej zmiennokształtnego. Po chwili jednak się zatrzymał.

Jeśli ciało Nuri'ego zostanie znalezione, Wat Tambor się dowie, że w fortecy jest intruz. Lecz jeśli go wypuszczę, zaalarmuje pozostałych...

Boba rozejrzał się po tunelu. Jego wzrok spoczął na kupce paralizującego grzyba Xabar. Tego mi właśnie trzeba!

Zaczął taszczyć Clawdite'a w stronę grzyba. Nuri stawiał opór. Lecz Boba był silniejszy.

- Ciekawy byłem, jak to działa - powiedział. Przyszpilił Clawdite'a do ziemi, po czym chwycił go za rękę. - Teraz się mogę przekonać.

Nuri się szamotał, gdy Boba mu dociskał rękę.

Wyczuwając ofiarę, macki Xabara sięgnęły do góry, trzęsąc się jak galaretka.

Bliżej... bliżej...

Głowa Clawdite'a zwisła nad grzybem. Następnie, jak blade, chude palce, macki go złapały.

- Unnnhhh...!

Clawdite prawie natychmiast się rozluźnił. Zwisł bezwładnie z rąk Boby. Boba się odsunął, na wszelki wypadek, jakby toksyna mogła go jakoś dosięgnąć.

- Nuri? - powiedział cicho. - Nuri?

Clawdite leżał przed nim. Wyglądał martwo. Nie miał tętna. Nie oddychał. Wzrok miał skierowany do góry, pusty i chłodny jak kamień. Gdy Boba dotknął mu ręki, była sztywna.

- Cóż - Boba powiedział, wstając z powrotem na nogi. Popatrzył na upadłego Clawdite'a leżącego obok grzyba Xabar. Jeśliby go ktoś znalazł, pomyślałby sobie, że przez przypadek wpadł na paralizującego grzyba. - Mam nadzieję, że to coś działa przez długi czas. Przynajmniej na tyle długi, żebym zdążył dorwać Wata Tambora.

Zaczął biec w dół korytarza. Było tutaj zauważalnie cieplej. Było też więcej oznak technologicznego geniuszu Wata Tambora.

Wstążki przewodów błyszczały pośród miękkich, obślizgłych ścian tunelu. Fosforyzujące globulki wisiały obok błyszczących plastalowych rur, które skwierczały prądem. Monitory komputerowe wielkości kciuka Boba migotały jak karmazynowe oczy. Grzyby Xabar wyrastały z leżących tu i ówdzie części droidów jak włosy.

Cały czas słychać było to monotonne, potężne dudnienie, jak bicie masywnego serca.

Boba starał się o tym zbytnio nie myśleć. Nie chciał sobie wyobrazić, jaka bestia miałaby takiej wielkości serce.

Przed nim ciemnogramatowa poświata tunelu zaczynała się rozjaśniać. Było teraz trudno dostrzec ściany korytarza za wszystkimi warstwami metalu i przewodów komputerowych. Tunel wił się i zakręcał. Boba zwolnił kroku. Skradał się obok ściany, nie spuszczając wzroku z tego, co znajdowało się przed nim.

Zaledwie kilka metrów przed nim, tunel się kończył. Wysokie, gładkie wrota otwierały się na pojedynczą dużą komnatę. Srebrno-fioletowe światło wylewało się z niej, poprzecinane ciemną purpurą oraz krwistą czerwienią.

Światło było tak jasne, że Bobę bolały oczy. Zatrzymał się i dostroił sensory optyczne. Następnie sprawdził broń. Blastery, wibroostrze, holocaulun Ygabby, jonowy paralizator, wyrzutnia strzałek...

Co by mu pomogło schwytać Wata Tambora?

Wszystko – czy nie?

Jego żołądek się skurczył. Po raz pierwszy poczuł dreszcz obawy.

Strach to energia, powiedział sobie. Wykorzystaj go.

Wziął głęboki oddech. Następnie, trzymając się tak blisko ziemi, jak tylko mógł, przebiegł ostatnie kilka metrów od tunelu do bramy.

Znalazł się twarzą w twarz z Watem Tamborem.

ROZDZIAŁ 22

Boba wciągnął powietrze.

Znajdował się w obszernej komnacie, bardziej przypominającej pieczarę, niż pokój. Migoczące i błyskające przewody osłaniały srebrzyste ściany. Rzędy monitorów ciągnęły się wzdłuż każdej płaszczyzny. Były sterty części należących do droidów – ręce, nogi, blastery, komórki energetyczne. Kupki grzyba Xabar wyrastały pomiędzy nimi, wśród innych rodzajów grzybów.

Nie dziwiło to Boby.

Lecz to, co znajdowało się w centrum komnaty, go zaskoczyło.

Z podłogi wyrastała ogromna, bezkształtna fioletowa masa. Pulsowała i trzęsła się jak masywna kupa szlamu. Błyski czerwonego ognia migotały w jej wnętrzu. Wystawały z niej dziesiątki przypominających macki rurek. Z każdym uderzeniem, Boba widział ciemny, błyszczący fioletowy płyn przepływający przez rury, odbiegający na zewnątrz, do ścian.

Były również inne żyły. Te schodziły ze ścian do biomechanicznego ośrodka nerwowego, karmiąc go. Płyn, który przez nie przepływał, był ciemnoczerwony.

Boba patrzył się na niego, obrzydzony. To dlatego żaden z żołnierzy ARC Glynn-Beti nie wrócił. Boba patrzył się na serce Mazariyana! Tak właśnie ogromny grzyb zdobywał moc – poprzez karmienie się tym, co znalazł w środku!

Głęboki głos zakłócił myśli Boby.

- Nie jesteś tym, kogo się spodziewałem.

Boba podniósł wzrok. Na środku pomieszczenia górował Separatysta. Sam był przez chwilę równie zaskoczony, co Boba.

Wat Tambor był wysoki i potężnie zbudowany. Jego ciało było zamknięte w zbroi, którą sam zaprojektował. Tylko czubek czaszki wystawał ponad nią. Oczy miał ukryte pod okrągłymi sensorami optycznymi. Ciężka metalowa maska zakrywała mu usta oraz dolną część twarzy.

Gdy Wat Tambor przemówił, jego nieludzki głos był spokojny.

- A więc. Intruz. To nie ma znaczenia. Znajdę dla ciebie jakieś zastosowanie.

Uniósł dłoń. Wiązka szkarłatnego światła wyleciała z niej. Z okrzykiem, Boba rzucił się na bok. Strumień światła uderzył w podłogę, stapiając plastal na dymiącą maź.

Wat Tambor przeklął. Boba się przetoczył, wyciągając blaster. Oddał strzał.

BLAM!

Pocisk z jego blastera poleciał prosto w stronę Wata Tambora.

Radość Boby szybko zgasła. Tambor był szybszy, niż wyglądał. Zrobił unik, a wiązka energii została jakby pochłonięta przez ściany komnaty.

Boba poczuł, jak cały pokój wokół niego się trzęsie. Ogromny ośrodek nerwowy wezbrał się. Błyszczące przewody zaświeciły się jeszcze jaśniej.

- Twoja broń go tylko karmi - Wat Tambor ogłosił tym spokojnym, mechanicznym głosem. - Tak, jak ty niedługo!

Boba podskoczył na nogi.

- Nie! - krzyknął.

Macki Mazariyana były wszędzie. Wijąc się, szamocząc, pełzając po podłodze – dziesiątki ich, z jednym celem.

Bobą Fetteem!

Z okrzykiem, Boba wyciągnął wibroostrze. Zamachnął się na ogromną żyłę i poczuł, jak ostrze się w nią wcina z satysfakcjonującym dźwiękiem. Migoczący płyn wylał się na zewnątrz. Rzucił się na bok, prawie że się nie przewracając na śliskiej podłodze.

Lecz podłoga komnaty już pracowała, wysysając chciwie każdą kroplę cieczy.

- A masz! - Boba krzyknął. Wężowata macka zamachnęła się na niego i ją chwycił. Wyleciała do góry, ocierając się o sufit. Boba trzymał się z całej siły. Czekał, aż znajdzie się nad miejscem, w którym stał Wat Tambor, obok pulsującego ośrodka nerwowego Mazariyana. Wtedy się puścił.

- Yaaah! - krzyknął.

Rzucił się na lidera Unii Technokratycznej, oddając strzał.

Za późno. Wat Tambor poruszał się zbyt szybko.

Separatysta zawirował, wysyłając kolejną wiązkę energii z dłoni. Boba rzucił się na ziemię. Jeśliby tylko zdołał się dostać do tej sterty metalu...

- Agh!

Palący ból pojawił mu się nagle w nodze, tak wielki, że nawet zbroja go nie wytrzymała, skwiercząc i dymiąc. Boba uderzył o ziemię. Kątem oka dojrzał szukającą go postać Wata Tambora. Wtem Separatysta nagle odwrócił wzrok, skupiając go na wejściu do komnaty.

Muszę się schować, Boba pomyślał desperacko, zanim zobaczy, że leżę...

Przetoczył się i zaczął się ciągnąć w stronę sterty części droidów. Było tam ciemniej. Może da radę zdobyć minutę, wystarczająco dużo czasu, by Wat Tambor znów się pojawił w zasięgu jego wzroku.

Boba podczołgał się do ściany. Rozwalone droidy dawały mu wystarczająco dużo cienia, by mógł się schować, przynajmniej na chwilę. Na środku pokoju macki wciąż chciwie zbierały płyn sączący się z przeciętej żyły.

- Gdzie on jest? - Boba wymamrotał. Potarł sobie nogę. Ból przemijał – trafienie było tylko powierzchowne. - Muszę go znaleźć...

Boba wysiłał się, by dostrzec Wata Tambora. Lecz dowódca Unii Technokratycznej nie był w zasięgu wzroku, ukryty za ośrodkiem nerwowym.

Boba go słyszał, jednakże. Rozmawiał z kimś – lecz z kim? Z Nurim?

Powinienem być zabić Clawdite'a! Boba pomyślał gniewnie. Teraz znowu mnie zdradził! Zaczął się wynurzać z mroku. Jedną rękę trzymał cały czas na blasterze. Drugą miał na pasie, gotów nią sięgnąć po taką broń, jakiej potrzebował.

Lecz gdy Boba podniósł wzrok, zorientował się, że będzie potrzebować ich wszystkich. Ponieważ do pokoju weszła najokropniejsza, najbardziej przerażająca postać, jaką kiedykolwiek widział.

Głową prawie że dotykała ona sufitu – głową złożoną z zazębiających się płyt stopu, którego nigdy wcześniej nie widział. Ciemna szata okrywała jej ciało. Przez szpary w niej Boba widział jej prawdziwy kształt: błyszczące metaliczne kończyny, sześciopalczaste dłonie przypominające łapy robota. Gdy obróciła głowę, Boba zobaczył jej oczy. Złociste oczy gada, ze źrenicą przypominającą czarną szparę osadzoną w oczodole w kolorze krwi. Nawet macki Mazariyana zdawały się wyczuwać jej groźną aurę. Wycofały się do serca, niczym mięsożer-ny wąż do swojej muszli, czekając.

Bobie zamarzła krew w żyłach. Nagle, z przerażającą pewnością, wiedział, że patrzy na najpotężniejsze, najbardziej śmiertelne zagrożenie, z jakim się kiedykolwiek zmierzył. Przeróżający generał armii droidów.
Grievous!

ROZDZIAŁ 23

Bobie zrobiło się sucho w ustach. Po obu stronach Grievousa były droidy-ochroniarze, prawie tak samo wysokie, jak on sam. Ich oczy były wielkie i okrągłe, i czerwone. Przeskazywały pokój metodycznie, obracając głowami w prawo i w lewo.

Lada chwila znajdą Bobę!

Co teraz? Pomyślał. Ręce powędrowały mu szybko nad pas z bronią. Energia blasterów by tylko karmiła Mazariyana. A wibronóż byłby bezużyteczny w starciu z droidami.

Nagle poczuł coś innego. Mały, kompaktowy obiekt, włożony za pas.

Holocaun Ygabby!

Tak! Boba przesunął się tak, że siedział wyprostowany. Wyjrzał za róg.

Ochroniarze Grievousa zaczęły przechadzać się po sali, szukając intruza. Grievous stał złowrogo pośrodku sali, obok serca, czekając. Wat Tambor był obok monitora, pracowicie wprowadzając informacje.

Grievous mnie jeszcze nie zobaczył, Boba pomyślał. Nie wie dokładnie, jak wyglądam, ani kim jestem.

Boba nie miał pojęcia, jaki obraz Ygabba wgrała do holocaunu. Lecz cokolwiek to było, lepsze to niż nic.

To moja najlepsza szansa, by pożyć wystarczająco długo, by ci podziękować, Ygabba, Boba pomyślał. Oby to było dobre!

Palec mu wisiał nad przyciskiem holocaunu. Wziął głęboki oddech. Następnie go dotknął i wstał.

Z miejsca, gdzie urządzenie wisiało przy pasie Boby, wydobywał się cichy szum. Następnie został okryty świecącym całunem. Sięgał wysoko nad jego głowę. Gdy poruszył ręką, całun się poruszył. Gdy zrobił krok do przodu, to całun z nim.

Ze środka holocaunu Boba widział tylko tą trzęsącą się chmurę. Lecz wiedział, że inni widzą coś zupełnie innego. Widzieli obraz, który Ygabba wgrała do środka.

Lecz co to był za obraz?

Gdy Boba zrobił krok do przodu, droidy-ochroniarze stanęły na baczność. Ich puste, świecące oczy zapaliły się jeszcze jaśniej. Boba przesunął się na bok, kierując się ku wyjściu. Gdy to robił, zobaczył swoje odbicie na ekranie monitora. W tym samym czasie, ochroniarze przemówiły.

- Durge!

Boba prawie że nie wydał z siebie okrzyku radości.

Jego przyjaciółka wgrała do całunu obraz Durge'a!

To właśnie widziały droidy: nie Bobę Fetta, lecz potężną postać jednego z najbardziej uznanych łowców nagród w galaktyce!

- Zniszczyć go!

Lodowaty głos przeszył komnatę. Grievous wskazał na swoich strażników. Obaj jednocześnie rzucili się do przodu, strzelając. Boba rzucił się na bok i strzały trafiły w ścianę za nim. Ekspłodowała na kawałki plastali i strzępy grzyba. Jedna z macek Mazariyana wysunęła się gwałtownie z pulsującego serca cytadeli. Grievous się obrócił i uniósł rękę w groźbie. Macka się wsunęła z powrotem do środka.

- Powiedziałem, zniszczyć go!

Droidy przeszły przez pokój. Boba oddał do nich kilka strzałów. Pociski odbiły im się od pancerza. Wyciągnął paralizator jonowy i strzelił z niego. Wyleciał z niego strumień plazmy jonowej. Jeden z droidów się zatoczył, chwilowo ogłuszony.

- Tak! - Boba powiedział.

Widział własne odbicie w szybach w różnych urządzeniach. Wyglądał wysoko i potężnie. Przez chwilę zdawało się, że i ochroniarze mogą być zaskoczeni.

- Jest to zaiste Durge - jeden z nich powiedział chłodnym głosem.

Grievous spojrział na Wata Tambora.

- Mówiłeś, że to mandaloriański wojownik - powiedział.

Wat Tambor popatrzył na niego.

- Musiał wezwać posiłki - odrzekł.

- To bez znaczenia - Grievous powiedział.

Boba wysłał z paralizatora kolejny pocisk w stronę ochroniarzy. Następnie się obrócił i zaczął biec w stronę drzwi.

Iluzja wywołana przez holocaulun trwałaby tylko dwie minuty. Ile czasu mu zostało? Wystarczająco, by ochroniarze się zawahali, zanim go znów zaatakują?

Wszystko wokół niego było świecącym rozmyciem, gdy biegł w stronę łuku, który stanowił wyjście. Jeśliby tylko mu się udało uciec z tej komnaty, mógłby się ukryć w cytadeli. Miał już plan, jak wykorzystać te macki do schwytania Wata Tambora. Jeśliby tylko mógł-

Vvvvvvmmmmmm...

Szum komórki energetycznej holocauluna nagle ucichł. Wokół Boby, zasłona obrazu Durge'a zamieniła się w kolorowe piksele. Przez sekundę widział się wyraźnie, tak, jak inni go widzieli: nie Boba, lecz Durge, z potężną ręką podniesioną do strzału. Broń Boby była ukryta pod obrazem blastera Durge'a.

Iluzja stwarzana przez holocaulun zniknęła. Komórka energetyczna się wyczerpała.

Tak, jak szczęście Boby.

ROZDZIAŁ 24

- To on! Intruz!

Głos Wata Tambora rozbrzmiał jak dzwon. Boba patrzył, jak Grievous i jego dwójka ochroniarzy się obróciła, by na niego spojrzeć.

- Nie jesteś Durgem, tak, jak podejrzewałem. - Głos Grievousa był chłodny, bez śladu ludzkich emocji. - Lecz zginiesz tak samo!

Uniół rękę. Zanim Boba mógł się ruszyć, Grievous wydał rozkaz. Oślepiający błysk energii wyleciał z niewidocznej broni trzymanej przez jednego z ochroniarzy. Uderzył Bobę w pierś i upadł, z kolejnym kawałkiem pancerza jego ojca dymiącym i pękniętym.

- Brać go! - rozkazał Grievous.

Droidy-ochroniarze skoczyły do przodu. Lecz zbroja Boby przyjęła na siebie uderzenie. Przetoczył się na bok, wstając i opierając się o ścianę.

- Nie dopadniecie mnie! - krzyknął.

- Może nie żywego - Wat Tambor powiedział spokojnie. - Lecz martwy jesteś dla nas równie dobry.

Droidy szły w stronę Boby. Chwycił blaster do każdej ręki i je uniół. Poczekał, aż droidy były zaledwie metry od niego. Następnie, chyląc się, oddał parę strzałów i odskoczył na bok.

KABLOWWW!

Strzały odbiły się od droidów, nie wyrządzając im krzywdy. Zatoczyły się, strzelając na oślep. Boba odpowiedział ogniem.

KABLAAM!

Pełzał obok ściany, oddając strzał za strzałem. Jeśli tylko dam radę dojść do drzwi, myślał desperacko.

Nastąpił kolejny strzał ze strony droidów. Tuż nad głową Boby ściana pękła. Wykroczysta chmurę odłamków metalu i grzybowej mazi i biegł.

Obok niego świeższe, chłodniejsze powietrze wydobywało się z mroku – tunel. Boba pędził w jego stronę, oddychając szybko i płytko. Słyszał klekot wymierzonych kroków droidów za sobą. Wyobraził sobie ich uniesione ręce i tą okropną, okrytą postać przyglądającą się sytuacji.

Nie myśl! Ruszaj się!

Rzucił się w stronę wyjścia. Chłodne powietrze go otoczyło, razem z ciemnością. Jego stopy dotknęły już znajomej, obślizgłej powierzchni. Przed nim rozciągał się korytarz. Kilka metrów przed nim się rozgałęział.

Jeśli dam radę dotrzeć do tego rozgałęzienia, mogę ich zgubić, Boba pomyślał. Jego serce się siliło, gdy biegł. Jeśli tylko-

Przeszywający ból przedarł się przez niego.

Boba wrzasnął w agonii.

Zrobił jeszcze kilka kroków.

Kolejny strzał przeszył mu zbroję od tyłu.

Upadł.

- A więc - lodowaty głos rozbrzmiał w tunelu. - Widzę cię teraz takim, jakim naprawdę jesteś.

Leżąc na ziemi, Boba wykręcał się, próbując dosięgnąć blastera i obrócić się, by popatrzyć do tyłu. Nad nim pojawiła się owinięta w szatę postać Generała Grievousa. W jednej ręce trzymał miecz świetlny, świecący we mgle.

Jak to? Czy generał był Jedi?!

Oczy Grievousa były żółtymi kulkami wewnątrz kościstej, srebrzystej maski. Za nim stał Wat Tambor, a po jego bokach droidy-ochroniarze.

- Nie, żeby to miało jakieś znaczenie - kontynuował lodowaty głos. Druga ręka Grievousa wysunęła się z szaty, trzymając drugi miecz świetlny. - Ponieważ teraz zginiesz.

Boba usiłował daremnie dosięgnąć pasa z bronią. Ból go przeszywał, tak, jakby ogień przepływał przez jego żyły. Opadł do tyłu.

- Wygląda na to, że już przechodzi przedśmiertne konwulsje - powiedział Wat Tambor.

Nagle Boba miał pomysł. Nie obracając głowy, pozwolił swojemu wzrokowi przelecieć po podłodze tunelu. Tam, niecały milimetr od niego, wyrastała blada kępka paraliżującego grzyba Xabar.

Nie – mogę – zostać – zauważony! Boba myślał sobie. Jego ręka sięgała po grzyba. Muszę – go dosięgnąć!

Grievous odchylił oba miecze świetlne do tyłu, przygotowując się do zadania ciosu. Boba się spisał. Pozwolił swojej ręce leżeć bezwładnie na ziemi. Poruszył nadgarstkiem, niezauważalnie, tak, żeby rękawica podwinęła mu się do góry.

Miał teraz na wierzchu małą kawałek skóry.

- Jest martwy - powtórzył Wat Tambor. - Nasze siły czekają na zewnątrz, Generale.

Młody łowca nagród wstrzymał oddech. Kątem oka widział palce delikatnie fosforyzującego grzyba. Były tak blisko, że praktycznie je czuł – prawie że ich dotykał.

Teraz!

Coś chłodnego i mokrego polizało fragment skóry na jego nadgarstku. Jego dłoń, a następnie nadgarstek, stał się znieczulony. Lodowaty oddech zdawał się wypełnić mu płuca.

- Generale - Wat Tambor go naglił.

Lodowate znieczulenie dotknęło całego ciała Boby. Spróbował oddychać, lecz nie mógł. Poczuł, jak serce przestaje mu bić. Wzrok mu się zaczął rozmywać. Jego misja, by schwytać Wata Tambora, zakończyła się niepowodzeniem.

Co by pomyślał jego ojciec?

Xeran mówił, że paraliż był tylko chwilowy, Boba sobie przypomniał, zasypiając. Oby miał rację....

Wokół niego, komnata stała się jeszcze bardziej rozmyta. Przebłysk świadomości pojawił się w umyśle Boby. Przypomniał sobie, jak Jabba czasem dostawał swoich więźniów zamrożonych w karbonicie.

Ciekawe, czy to takie samo uczucie...

To była ostatnia rzecz, o jakiej Boba pomyślał.

- Generale, proszę! - Wat Tambor powiedział. - Popatrz na niego – jest martwy. Nikt nie mógłby przeżyć tych strzałów!

Wat Tambor podszedł do niego i dotknął go stopą. Ciało łowcy nagród poruszyło się bezwładnie, lecz nie odpowiedziało. Grievous przeszedł obok lidera Unii Technokratycznej. Wyłączając miecze świetlne, kopnął Bobę.

- Martwy - powtórzył jeden z droidów-ochroniarzy.

- Martwy - drugi potwierdził.

- Zostaw go - Wat Tambor powiedział. - Będzie dużo czasu, by się pozbyć ciała, gdy wrócimy. Oraz wiele innych, by do niego dołączyć. - Dodał ze złośliwym mechanicznym śmiechem.

- Chodź! - rozkazał Grievous. - To nie żaden Jedi. Nie będę dłużej marnować swoich zdolności na takim laiku. - Obrócił się, po czym odszedł korytarzem, a za nim Wat Tambor. Z tyłu szli ochroniarze, klekocząc metalowymi kostkami. W tunelu, za nimi, pozostał ciemny kontur, nieruchomy, bez czucia, leżący na ziemi.

Na zewnątrz, szturm na Mazariyana wciąż trwał. W środku, walka Boby o życie się właśnie zaczynała.